

ZUŁÓW
PRYMAS STEFAN WYSZYŃSKI
ANTONI DOCHA
Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" - Założony w roku 1992 - Wydawany na uchodźstwie od roku 2005
MAGAZYN
POLSKI
NR 6 (173) CZERWIEC 2020
POLSKA
DZIAŁALNOŚĆ TRWA

MAGAZYN POLSKI
Ogólnokrajowy miesięcznik SZ "Związek Polaków na Białorusi" • Założony w roku 1992 • Wydawany na uchodźstwie od roku 2005
NR 6 (173) CZERWIEC 2020





Dla Sowietów byli zdrajcami

Podróż do przeszłości

Na pierwszej stronie okładki: Obchody Święta Flagi Rzeczypospolitej Polskiej przez Związek Polaków na Białorusi w Grodnie z udziałem konsula generalnego RP w Grodnie Jarosława Książka. Fot. Irena Waluś

Na ostatniej stronie okładki: Obraz Andrzeja Sturejki. Niebiański pocałunek

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany tytułów. Poglądy Autorów nie zawsze są zbieżne z poglądami Redakcji

Publikacje wyrażają jedynie poglądy Autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

REDAKTOR NACZELNA: *Irena WALUŚ*
i.walus@op.pl
tel.+375 29 949-35-09

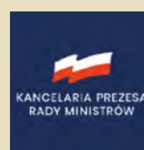
KOREKTA: *Danuta KARPOWICZ*
SKŁAD I ŁAMANIE: *Alaksiej SALEJ*

Archiwum: kresy24.pl/archiwum-magazynu-polskiego/
Okładka: Magazyn Polski na uchodźstwie



PRENUMERATA POLSKA:
Fundacja Wolność i Demokracja,
Al. Jerozolimskie 30 lok.14
00-024 Warszawa, tel.(22)628-85-05

MAGAZYN POLSKI jest ogólnokrajowym miesięcznikiem Społecznego Zjednoczenia «Związek Polaków na Białorusi». Założony w roku 1992, od roku 2005 jest wydawany na uchodźstwie



Projekt realizowany przez Fundację Wolność i Demokracja, finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach zadania publicznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom za granicą

Gorzki smak zwycięstwa



IRENA WALUŚ
REDAKTOR NACZELNA
„MAGAZYNU POLSKIEGO NA UCHODŹSTWIE"

W dn. 8 maja 1945 r. wszedł w życie akt bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy, który definitywnie zakończył II wojnę światową w Europie. Pandemia koronawirusa przeszkodziła tegorocznym obchodom na większą skalę jak to bywa przy okrągłych rocznicach. Odbyły się w Polsce i krajach europejskich skromnie i w innym formacie.

Wart odnotowania fakt, że szefowie dyplomacji USA, Polski, Czech, Węgier, Słowacji, Bułgarii, Rumunii, Litwy, Łotwy i Estonii wydali wspólne oświadczenie z okazji 75. rocznicy zakończenia II wojny światowej. Ministrowie zwrócili uwagę, że koniec wojny nie przyniósł wolności krajom Środkowej i Wschodniej Europy, które pozostały pod rządami reżimów komunistycznych przez kolejne niemal 50 lat. Miliony ludzi zostały pozbawione fundamentalnych wolności.

Mimo że minęło tak sporo czasu od zakończenia wojny, historycy nadal dyskutują nad spornymi kwestiami, a na pewne pytania i dzisiaj nie ma jednoznacznych odpowiedzi. Muzeum Historii Polski w dn. 8 maja zorganizowało międzynarodową konferencję w trybie online na temat „Brzemię zwycięstwa. II wojna światowa i jej skutki z perspektywy 75 lat".

Nie dla wszystkich krajów zwycięstwo miało ten sam smak. Zdaniem Roberta Kostro, dyrektora MHP, pamięć dotycząca zakończenia II wojny światowej jest podzielona: „Przede wszystkim główna linia podziału wiedzie przez te kraje, które zostały wyzwolone przez aliantów zachodnich, tak jak Francja, Holandia, Belgia, i te kraje, które były zajęte przez Armię Czerwoną". Mieszkańcy krajów Europy Zachodniej mogli się cieszyć z zakończenia wojny. Dla krajów Europy Środkowej i Wschodniej w dużej mierze była to inna forma okupacji.

Bilans strat najkrwawszej wojny w historii ludzkości był tragiczny. W ciągu sześciu lat wojny zginęło ponad 60 mln ludzi. Liczba ofiar militarnych zaś to 21-25 mln, w tym ok. 5 mln zmarłych w niewoli jeńców wojennych. Wojna pochłonęła wyjątkowo dużo ofiar wśród ludności cywilnej.

Polska zapłaciła ogromną cenę za zbrodniczą politykę Niemiec i Związku Radzieckiego, które we wrześniu 1939 r. napadły na nią. Ponad 6 mln jej obywateli straciło życie i jeszcze większa liczba osób była więziona, deportowana i przez lata zmuszana do niewolniczej pracy w ZSRR czy do przymusowej pracy w Niemczech. Po radości, że wojna się skończyła, przyszedł czas ogromnej rozpaczy za milionami poległych i pomordowanych, także za zrujnowanym krajem. Gigantyczne zniszczenia i rabunki dokonane na polskim mieniu przez Niemców i Sowietów w latach 1939-1945 dopełniały straszny bilans strat. Pod względem strat materialnych Polska należała do najbardziej poszkodowanych państw. Marszałek Żukow ze zrujnowanej Warszawy cynicznie informuje Stalina, że w „Łodzi, Tomaszowie, Radomiu, Bydgoszczy i wielu innych miastach" całkowicie zachowały się działające tam zakłady przemysłowe. Czyli mogą stać łupem ZSRR.

Okupacja niemiecka i sowiecki cios w plecy nie złamały Polski - nie w naturze Polaków biernie czekać na łaskawy los - odwrotnie: zdeterminowały do walki, żeby zwyciężyć. Historycy podliczyli, że Polska wystawiła podczas wojny czwartą co do wielkości armię, żołnierze której brali udział w działaniach wojennych podczas II wojny światowej od pierwszego dnia aż po sam jej koniec w Europie.

Mimo to alianci poświęcili Polskę kosztem współpracy Zachodu z Sowietami, zgadzając się ostatecznie, żeby kraj był w strefie wpływów sowieckich. To bardzo niesprawiedliwe, chociaż alianci podczas wojny niejednokrotnie podkreślali bohaterstwo polskich żołnierzy i wkład Polski w walkę z nazistowskim wrogiem. Jednak o tym zadecydowano wcześniej, w czasie konferencji w Teheranie i Jałcie, które odbyły się w czasie, gdy niemiecka ofensywa załamała się na froncie wschodnim, więc Stalin dyktował warunki.

Polacy walczyli o wolną, suwerenną Ojczyznę, o jej integralność terytorialną – tego celu jednak nie osiągnęli. Jeszcze przed zakończeniem wojny zaczął się terror i prześladowania polskiego podziemia. Co mieli robić żołnierze II Korpusu w większości sformowani z osób, które przeszły gehennę GUŁAG-u? Duża ich część pochodziła ze wschodnich terenów, które były już w ZSRR. Ponownie trafiali do sowieckiego piekła, gdy niektórzy odważyli się wrócić w strony rodzinne. Więc 8 maja 1945 r. nasi rodacy odczuwali gorzki smak zwycięstwa ■



9 MAJA 2020 ROKU W MIŃSKU

W sowieckim stylu

W czasie szczytu pandemii Łukaszenko zorganizował 9 maja defiladę w Mińsku.

Przez centrum stolicy przemaszerowało ponad 3 tys. żołnierzy oraz przejechało ok. 200 pojazdów wojskowych.

To była jedyna parada wojskowa w tym roku w przestrzeni postsowieckiej. Odbyła się także z obowiązkowym udziałem publiczności, która musiała być bez maseczek, nie było mowy o przestrzeganiu dystansu socjalnego.

Łukaszenko podkreślił, że defilada wojskowa w Mińsku odbyła się „na cześć wszystkich mieszkańców ZSRR, którzy zginęli podczas wojny: od Białorusinów, Ukraińców, Rosjan, Tatarów po Turkmenów i Estończyków". Wezwał, żeby nie potępiać kraju za zorganizowanie parady w dniu zwycięstwa mimo pandemii koronawirusa.

Wiele instytucji międzynarodowych swoją pomoc dla Białorusi uzależniało od nieprzeprowadzenia defilady. Rezygnacja z wszelkich imprez masowych, sprzyjających rozprzestrzenianiu się wirusa, była kluczowym zaleceniem dla Białorusi ze strony Światowej Organizacji Zdrowia.

Ludzie porównują to wydarzenie do pierwszomajowej manifestacji po katastrofie czarnobylskiej.

Zwiększa się współpraca

Mówili o tym szefowie MSZ Białorusi i Polski.

Ministrowie spraw zagranicznych Białorusi Władimir Makiej i Polski Jacek Czaputowicz odbyli 6 maja rozmowę telefoniczną. Strony omówiły szeroki zakres zagadnień współpracy, w tym zwiększenia współpracy handlowej i gospodarczej oraz dywersyfikacji dostaw surowców energetycznych.

Wg komunikatu białoruskiego MSZ, ministrowie mówili także o perspektywach rozwoju Partnerstwa Wschodniego.

Strony z satysfakcją odnotowały nawiązanie intensywnej współpracy w celu przezwyciężenia covid-19: od dobrosąsiedzkiej pomocy Polski dla RB po współpracę między systemami opieki zdrowotnej. W 2019 r. Polska zajęła 5. miejsce pod względem obrotu towarowego z RB, 4. miejsce – w inwestycjach.

Ambasador RP na Białorusi Artur Michalski powiedział, że Białoruś i Polska rozpoczną współpracę energetyczną na podstawie porozumienia o dostawach ropy na Białoruś przez Polskę.

W skrócie

Mieszkańcy Litwy otrzymają przed uruchomieniem centrali atomowej w Ostrowcu tabletki jodku potasu, blokujące gromadzenie radioaktywnego jodu w tarczycy, zmniejszając ryzyko zachorowań na raka tarczycy.

Za protesty przeciwko defiladzie zwycięstwa w Mińsku w czasie pandemii aresztowano 130 osób.

Ambasadora Słowacji na Białorusi odwołano za udział w defiladzie 9 maja w Mińsku.

Arlem Desiré, przedstawiciel OBWE ds. wolności mediów, potępił aresztowania dziennikarzy i wezwał do ich natychmiastowego uwolnienia.

Od 11 maja br. centra wizowe w Mińsku, Brześciu i Grodnie przyjmują wnioski na wizy dla osób zatrudnionych w RP, posiadaczy KP i kierowców transportu międzynarodowego.

Z USA 17 maja wypłynęła pierwsza partia ropy dla Białorusi.

Parlament Europejski proponuje zniesienie roamingu między UE a Białorusią i Ukrainą.

CKW zarejestrowała 15 z 55 komitetów wyborczych potencjalnych kandydatów w wyborach prezydenckich, jeśli do 19 czerwca zbiorą 100 tys. podpisów, będą mogli startować.

Białoruś otrzymała 1,7 mln $ od USA na walkę z koronawirusem.

PRZYGOTOWAŁA
WANDA ROMAŃCZUK



PREZYDENT RP ANDRZEJ DUDA PRZY GROBIE NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA W WARSZAWIE

W rocznicę zwycięstwa

Z okazji 75. rocznicy zakończenia wojny prezydent RP złożył wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

8 maja jest obchodzony Międzynarodowy Dzień Zwycięstwa upamiętniający zakończenie II wojny światowej w Europie. Andrzej Duda zaznaczył, że Polacy obchodzą go, jak „obchodzi Europa Zachodnia" i wolny świat. Prezydent powiedział, że to słodko-gorzka rocznica. – Słodka, bo zakończyła się II wojna światowa, zakończyła się ta krwawa jatka w historii XX w. i w historii dziejów ludzkości, w której życie straciło tylu ludzi – prawie 6 mln naszych obywateli, w tym ponad 3 mln obywateli Polski narodowości żydowskiej – podkreślił A. Duda.

Prezydent przypominał, że Polacy walczyli na wszystkich frontach II wojny światowej: „Na Zachodzie, na Wschodzie, walczyli w podziemiu, w partyzantce, krwawili się, ginęli w obozach koncentracyjnych, umierali w obozach jenieckich, byli rozstrzeliwani na ulicach miast, więzieni, katowani".

Polska wróciła na mapę Europy, ale nie jako państwo w pełni wolne i suwerenne, a znalazła się w sowieckiej strefie wpływów. – To jest ten gorzki element – dodał.

IV etap „odmrażania"

Nowe zalecenia rządu wchodzą od 30 maja i 6 czerwca br.

– Przed nami nowa rzeczywistość, w której musimy się nauczyć żyć – mówił premier RP Mateusz Morawiecki.

Od 30 maja na otwartych przestrzeniach można nie nosić maseczek, ale zachować dystans 2 m. Rząd znosi limity osób w sklepach, także w kościołach i miejscach kultu religijnego, również podczas pogrzebów i ślubów. W miejscach tych nadal trzeba mieć maseczkę. Można już organizować zgromadzenia publiczne i koncerty plenerowe do 150 osób, ale w maseczkach i zachować dystans 2 m.

Od 6 czerwca w uroczystościach rodzinnych może uczestniczyć do 150 osób. Zostaną otwarte kina, teatry, opery oraz baseny, siłownie, kluby fitness, sale zabaw i rozrywki, sauny, solaria oraz salony masażu i tatuażu. Można organizować targi i wystawy.

– Trzymajmy się jednak zasad. Walka wciąż trwa – podkreślił premier.

W skrócie

Strona rosyjska przy okazji likwidacji tablic ku pamięci zamordowanych polskich oficerów w Twerze nieopatrznie ujawniła fakt istnienia ponad 60 tomów protokołów dot. Zbrodni Katyńskiej, ich istnieniu przez lata zaprzeczała.

Sejm uchwalił ustawę o udzielaniu pomocy publicznej w celu ratowania lub restrukturyzacji firm.

Wmurowano kamień węgielny na budowie kolejnej stacji II linii metra w Warszawie.

Z badania wynika, że 1/3 klientów stracą kluby dyskotekowe, galerie handlowe, hotele, teatry i gabinety kosmetyczne, 1/4 - restauracje, kina, koncerty, imprezy sportowe, targowiska, fryzjerzy (Opinia24).

Uczelnie przywracają wybrane zajęcia stacjonarne dla studentów i doktorantów przy zachowaniu zasad bezpieczeństwa. Stan zdrowia wykładowców będzie „monitorowany".

W ostatnich miesiącach 2020 r. zmarło ogółem mniej osób, niż w tym samym okresie w 2019 r. - podaje serwis Konkret24 (TVN24).

Od 20 maja obowiązuje zakaz sprzedaży papierosów mentolowych.

Polak nielegalnie przekroczył granicę Białorusi, by zobaczyć narzeczoną z Grodna. Zatrzymali go jednak białoruscy pogranicznicy.

PRZYGOTOWAŁA
ANNA MALINOWSKA

Ostatni polski pilot myśliwca

Jerzy Główczewski, pilot pełniący służbę w słynnym Dywizjonie 308, zmarł z powodu koronawirusa – poinformowała „New York Times”.

Ur. w Warszawie w 1922 r. Był ostatnim żyjącym pilotem myśliwca z II wojny światowej. Do Wielkiej Brytanii przybył poprzez Rumunię, Palestynę i Egipt w 1942 r. W 1944 r. ukończył szkolenie w zakresie pilotażu, potem szkolenie na samolotach *Spitfire*, zaś we wrześniu 1944 r. wstąpił do Dywizjonu 308 „Krakowskiego”.

Jako pilot Dywizjonu 308 uczestniczył w prowadzonych z lądowiska w Normandii atakach na wycofujące się wojska niemieckie, brał udział w bitwie nad Gandawą, jednej z ostatnich bitew lotniczych,



JERZY GŁÓWCZEWSKI W CZASIE WOJNY

a także w atakach na wyrzutnie niemieckich pocisków V-2. Uczestniczył w ponad stu lotach bojowych, został trzykrotnie odznaczony polskim Krzyżem Walecznych oraz Polowym Znakiem Pilota.

Po wojnie wrócił do Polski, ukończył studia na wydziale architektury i brał udział w odbudowie Warszawy oraz w projektowaniu zakładów przemysłowych. Do USA przybył w 1962 r., był m.in. wykładowcą Uniwersytetu Stanowego w Karolinie Północnej. W Nowym Jorku pracował dla Fundacji Forda oraz ONZ. Wykładał architekturę w Instytucie Pratta.

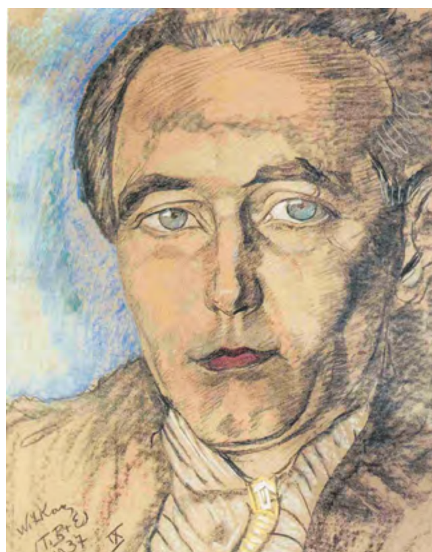
„Daily Telegraph” zacytowała fragment książki „Wojak z przypadku” – jednego z 4 tomów wspomnień Główczewskiego. „Żyłem na skraju przepaści, ale jakoś udało mi się uniknąć najgorszego losu. Byłem o krok od śmierci, uchodźcą uciekającym przed deportacją, głodem i obozami śmierci. Walcząc na dwóch frontach w czasie II wojny światowej, byłem wielokrotnie ostrzeliwany”.

Roman Witold Ingarden

To największy polski fenomenolog, stawiany w tym samym rzędzie, co klasycy filozofii.

Ur. w Krakowie 5 lutego 1893 r. Studiował u Edmunda Husserla w Getyndze i w Fryburgu Badeńskim. Jego dzieła estetyczne przyczyniły się do rozwoju myśli postmodernistycznej w teorii sztuki. Pisał po polsku i niemiecku. Międzynarodową sławę zyskał przede wszystkim jako estetyk, dzieło „Das literarische Kunstwerk” przetłumaczono na kilkanaście języków. Ogromną popularnością cieszą się jego prace z teorii sztuki.

Pierwsze naukowe kroki stawiał u boku Kazimierza Twardowskiego, twórcy znanej szkoły lwowsko-warszawskiej. Za jego namową przeniósł się na uniwersytet w Getyndze do Husserla, otaczonego



PORTRET INGARDENA AUTORSTWA WITKACEGO

gronem uczniów, dla których fenomenologia była „wspólną formą życia”.

W 1916 r. Ingarden przeniósł się z Husserlem do Fryburga, gdzie Husserl objął katedrę. W tym czasie Ingarden poznał Edytę Stein. To początek bardzo niezwykłej przyjaźni, korespondowali ze sobą aż do wybuchu wojny. Listy Stein do Ingardena ukazały się pt: „Spór o prawdę istnienia”. We Fryburgu w 1917 r. obronił pracę doktorską i wrócił do Polski.

Za życia wydano 224 prace Ingardena (prawie cała spuścizna dostępna w jęz. niemieckim), wygłosił ok. 300 odczytów w Polsce i za granicą. Wydane dzieła filozoficzne liczą 13 tomów. „Książeczkę o człowieku” można polecić każdemu. *Opus magnum* „Spór o istnienie świata” porównywany jest z „Metafizyką” Arystotelesa.

Zmarł w Krakowie 14 czerwca 1970 r. W 50. rocznicę śmierci Sejm RP ustanowił jego patronem 2020 roku.

PRZYGOTOWAŁA
WANDA ROMAŃCZUK

Rok Jana Pawła II

Sto lat temu, 18 maja 1920 r., w Wadowicach przyszedł na świat Karol Józef Wojtyła.

Z tej okazji Sejm RP ustanowił 2020 Rokiem Św. Jana Pawła II. W postanowieniu zwrócono uwagę, że zajmuje on szczególne miejsce w historii Polski i Europy, a jego zdecydowane upominanie się o prawo Polski do wolności wśród narodów Europy uczyniły papieża najważniejszym z ojców niepodległości Polski.

Także Sejm Litwy uczynił go patronem 2020 r. w podzięce za wizytę duszpasterską w 1993 r.

Pandemia koronawirusa uniemożliwiła zaplanowane obchody w wielu miastach Polski. Część z nich przeniesiono do Internetu, ale sporo wydarzeń przeniesiono na później, w tym w Wadowicach.

Oto niektóre wydarzenia w Krakowie. Od 15 maja br. budynki Urzędu Miasta Krakowa i place udekorowano biało-żółtymi flagami papieskimi. W przestrzeni miejskiej pojawiło się 21 bilbordów i 400 plakatów jubileuszowych.



Św. Jan Paweł II

16 maja poprzez *YouTube* doszło do połączenia z Bergamo, Nowym Jorkiem, Belo Horizonte i Krakowem dla odmówienia modlitwy różańcowej o ustanie epidemii na świecie.

Główne obchody 18 maja odbyły się w sanktuarium św. JP II w Krakowie, gdzie metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski odprawił Mszę św. Potem odbył się koncert, „Santo Subito – prorok naszych czasów". O godz. 20.00 na kanale *YouTube* Archidiecezji Krakowskiej przemówił papież Franciszek.

Na Pałacu Arcybiskupów odbył się pokaz laserowy transmitowany online. Powstanie Wielka Księga Świadectw, w której będą wspomnienia ze spotkań z św. JP II. Na Plantach można oglądać wystawę z okazji rocznicy papieża.

85 lat temu zmarł Piłsudski

Śmierć nastąpiła 12 maja 1935 r. w Belwederze o godz. 20.45.

Salon Pałacu Belwederskiego zamieniono na kaplicę żałobną. Przy zmarłym zaciągnięto wartę honorową. Wykonana ze srebra trumna z ciałem Piłsudskiego wystawiona była w Belwederze 13 i 14 maja. Katafalk przybrano w purpurowe sukno z godłem Rzeczypospolitej.

Zwłoki marszałka ubrano w mundur, przepasany wielką wstęgą orderu *Virtuti Militari* i z bojowymi orderami na piersiach. W rękach trzymał obrazek MB Ostrobramskiej. Nad głową umieszczono przybrane kirem sztandary wojska polskiego z lat 1831 i 1863 oraz sztandary legionowe. Obok stała kryształowa urna z sercem marszałka, przy niej położono czapkę maciejówkę, buławę marszałkowską oraz szablę.

15 maja trumnę przewieziono na lawecie zaprzężonej w sześć koni do katedry św. Jana. Ustawiono ją w nawie. Tam marszałka żegnały tłumy.

17 maja wieczorem pociąg wiozący ciało Piłsudskiego ruszył do Krakowa, na jego trasie zgromadziły się tysiące ludzi, aby oddać zmarłemu hołd.

Po odprawieniu modłów przez metropolitę krakowskiego abp Adama Sapiehę, kondukt ruszył na Wawel. Prezydent Ignacy Mościcki pożegnał marszałka słowami: „Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu. Skroń jego nie okala korona, a dłoń nie dzierży berła. A królem był serc i władcą doli naszej". Następnie generałowie, przy dźwiękach dzwonu Zygmunta, wnieśli trumnę do katedry. Po mszy pontyfikalnej generałowie znieśli ciało do krypty św. Leonarda. Na zakończenie uroczystości działa oddały 101 strzałów armatnich. W całym kraju zapanowała 3-minutowa cisza. W pogrzebie w Krakowie wzięło udział ok. 100 tys. osób, kondukt ciągnął się przez kilka kilometrów.

Przygotowała
Anna Malinowska

Działalność trwa

To najbardziej niezwykły fotoreportaż o działalności Związku Polaków na Białorusi, który przedstawiamy. Tak jak i czasy, w których nam przyszło obecnie żyć. Pandemia koronawirusa zmusiła nas do zmiany nie tylko przyzwyczajeń, ale także trybu życia, pracy i działalności społecznej.

Fotoreportaż pokazuje, jak odnalazł się w tej sytuacji Związek Polaków na Białorusi, który zawsze był i jest blisko ludzi, swoich działaczy. Trzeba było pilnie zmienić tryb nauczania w szkołach społecznych na zdalny. Zarówno nauczyciele, jak i uczniowie poradzili sobie z tym, chociaż oczywiście taki system nauki to nie to samo, co w prawdziwej szkole na lekcjach. I nauczycielom, i uczniom tego bardzo brakuje.

Z nadejściem wiosny działacze ZPB posprzątali wszystkie miejsca pamięci narodowej, jak to się robiło w poprzednich latach.

Przedsięwzięcia, które odbywają się w realnej rzeczywistości, tym się różnią od dawniejszych, że odbywają się w okrojonym składzie, uczestniczy w nich mała liczba działaczy ze względu na bezpieczeństwo. A przecież imprezy ZPB zawsze odbywały się przy dużej liczbie uczestników. Niezbędnym elementem dzisiejszych przedsięwzięć są maseczki ochronne u uczestników imprez.

Wszyscy marzą o powrocie do normalności, do imprez z dużą liczbą uczestników, ale na to trzeba poczekać.


Iness Todryk-Pisalnik

Prezes ZPB Andżelika Borys, konsul RP w Grodnie Andrzej Raczkowski oraz prezes Rady Naczelnej ZPB Anżelika Orechwo na Nekropolii Grodzieńskiej w drodze do grobu Elizy Orzeszkowej


Iness Todryk-Pisalnik

Przy pomniku Elizy Orzeszkowej w Grodnie


Irena Waluś

Młodzież z *Batorówki* oraz prezes ZPB Andżelika Borys przed konferencją online z ambasadorem RP na Białorusi z okazji Święta Konstytucji 3 Maja


Andrzej Pisalnik

Sprzątanie grobów AK-owskich na Cmentarzu Wojennym w Surkontach


Andrzej Pisalnik

Prezes Oddziału ZPB w Wołkowysku Maria Tiszkowska dostarczyła szpitalowi w Brzostowicy Wielkiej uszyte przez Polaków Wołkowyska kombinezony ochronne

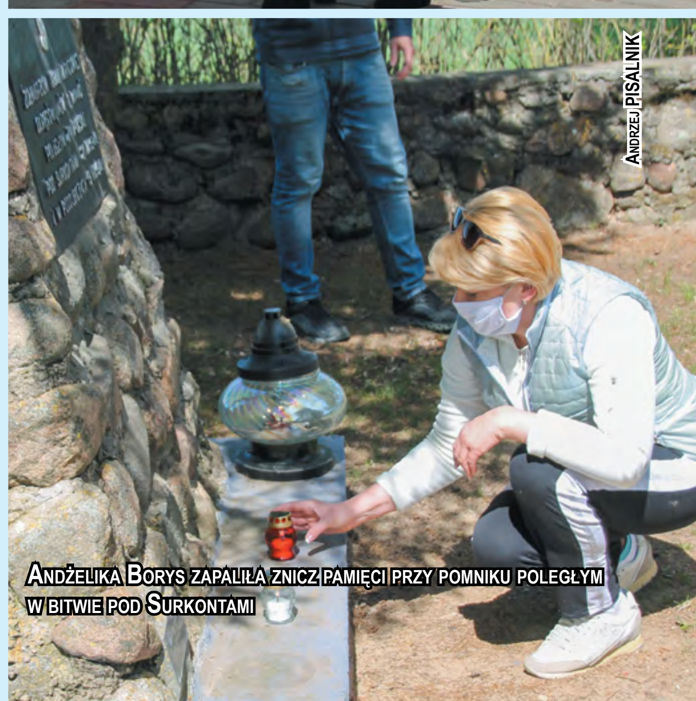

Andrzej Pisalnik

Andżelika Borys, prezes ZPB, oraz prezesi oddziałów organizacji przekazują środki ochrony indywidualnej Centralnemu Szpitalowi Rejonowemu w Brzostowicy Wielkiej



Irena Waluś

Konsul generalny RP w Grodnie Jarosław Książek wręcza upominki uczniom *Batorówki*, biorącym udział w obchodach Święta Flagi Rzeczypospolitej Polskiej


Andrzej Pisalnik

Andżelika Borys zapaliła znicz pamięci przy pomniku poległym w bitwie pod Surkontami

Jan Paweł II oczami malarzy

Irena Waluś

Twórcy z Towarzystwa Plastyków Polskich na Białorusi, działającego przy ZPB, już od dłuższego czasu przygotowywali wystawę zat. „Pasterz Miłości", poświęconą 100. rocznicy urodzin świętego Jana Pawła II. Z powodu epidemii nie odbyło się uroczyste otwarcie wystawy, w związku z tym malarze przenieśli swoją wystawę do Internetu.

Osoba Jana Pawła II oraz jego bogata spuścizna wywarły ogromny wpływ na ludzi w całym świecie. Papież był nie tylko duchowym przywódcą, ale wielkim humanistą, filozofem, mistykiem, poetą. Doceniał również sztukę i jej twórców. „Relacja między dobrem a pięknem skłania do refleksji. Piękne jest bowiem poniekąd widzialnością dobra, tak jak dobro jest metafizycznym warunkiem piękna" – napisał Jan Paweł II w „Liście do artystów" (1999).

Postać Jana Pawła II inspirowała artystów. O niezwykłej osobowości Świętego poeci napisali wiersze, malarze stworzyli obrazy, rzeźbiarze – pomniki i rzeźby, kompozytorzy – utwory grane przez orkiestry i zespoły muzyczne, piosenkarze dedykowali mu piosenki. Wiele dzieł sztuki poświęconych Janowi Pawłowi II powstało już za jego życia. Nasi artyści z Towarzystwa Plastyków Polskich też do tego się przyczynili. Wspaniałe obrazy na cześć Karola Wojtyły stworzył



Natalia Klimowicz. Uczta

współzałożyciel i wieloletni prezes TPP Stanisław Kiczko. Figura Jana Pawła II autorstwa Wasyla Martynczuka zdobi od 2014 r. wnętrze bazyliki katedralnej w Grodnie. Rzeźbiarz Mikołaj Sklar stworzył popiersie Świętego.

– To jest najważniejsza wystawa tematyczna TPP w tym roku, wszystkie obrazy już są przygotowane, ale pokażemy ją szerokiej publiczności, kiedy będzie to bezpieczne - być może na jesieni tego roku. Nie chcę podawać konkretnego terminu, bo nikt tego nie wie – powiedziała Renata Dziemiańczuk, wiceprezes ZPB ds. Kultury. Dodała, że twórcy „przedstawili nie tylko portrety Świętego, w sposób artystyczny także wartości, które były istotne dla Jana Pawła II i są ważne dla nas: wiara, miłość, rodzina".

25 malarzy z TPP przedstawiło 31 obrazów. Dzieła Walentyny Szoby, Jana Strukowa, Andrzeja Sturejki, Walerego Stratowicza, Anatola Pietraszewicza, Aleksandra Wasilewicza, Natalii Klimowicz, Antoniego Cybizowa, Walerego Suprunienki, Mikołaja Panciuchowa, Wasyla Martynczuka, Wacława Sporskiego i in. na pewno pozostaną w pamięci.

Podczas wernisażu wystawy będzie możliwość spotkania się z twórcami z TPP. Rozmowa z autorami i podziwianie dzieł malarzy zawsze są ciekawsze niż oglądanie ich w przestrzeni wirtualnej. Czekamy więc na spotkanie z dziełami przedstawiającymi jedną z najbardziej fascynujących postaci XX – początku XXI ww ■

Działać trzeba zawsze

Eliza Andruszkiewicz

Związek Polaków na Białorusi nawet w czasach pandemii koronawirusa prowadzi aktywną działalność. Zmieniły się jedynie jej formy, dzięki którym można dotrzeć do jak największej liczby działaczy ZPB, szczególnie w terenie.



Iness Todryk-Pisalnik

Przy grobie Elizy Orzeszkowej. Od lewej: prezes ZPB Andżelika Borys, konsul RP w Grodnie Andrzej Raczkowski, prezes RN ZPB Anżelika Orechwo

Polska Szkoła Społeczna im. Króla Stefana Batorego i inne szkoły społeczne działające przy ZPB od 17 kwietnia przeszły na nauczanie zdalne, rok szkolny w placówkach edukacyjnych ZPB wydłużono do 25 czerwca.

Dn. 22 maja odbyły się warsztaty online dla nauczycieli, w których uczestniczyło 35 pedagogów z całej Białorusi, w tym z odległych ośrodków takich jak Mohylew, Mozyrz, Mołodeczno i in. W warsztatach wzięła udział też prezes Podlaskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska" Anna Kietlińska, a uczestników powitał konsul generalny RP w Grodnie Jarosław Książek. Prezes ZPB Andżelika Borys zapoznała się z potrzebami nauczycieli oraz warunkami, w których pracują. Niektórzy uczniowie pochodzą z biednych rodzin i nie stać ich na sprzęt do nauki zdalnej, nawet w postaci nowoczesnego smartfonu.

Do nauczycieli zwróciła się wiceprezes ZPB ds. Kultury Renata Dziemiańczuk i zaproponowała, żeby uczniowie dołączali się do konkursów „Kolorowe Nutki" i „Malwy". Podziękowała nauczycielom, których uczniowie byli uczestnikami konkursu inscenizacji wiersza, odbywającego się również online. Nagrania dzieci, na podstawie których oceniano ich występ, przesyłano drogą elektroniczną.

Maj jest bogaty w święta i rocznice historyczne. 2 maja w ZPB obchodzono Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej. W Dniu Konstytucji 3 Maja ambasador RP na Białorusi Artur Michalski zorganizował wideokonferencję, podczas której laureaci konkursów recytatorskich z „Batorówki" recytowali wiersze. W oddziałach ZPB uczczono 100. rocznicę urodzin świętego Jana Pawła II.

Działacze Związku Polaków pamiętają też o rocznicach, związanych z wielką Grodnianką – Elizą Orzeszkową. 18 maja – w 110. rocznicę śmierci Pani Elizy – delegacja ZPB z konsulem RP w Grodnie Andrzejem Raczkowskim złożyła kwiaty przy pomniku pisarki w Grodnie oraz zapaliła znicze i złożyła wieniec przy jej grobie na Cmentarzu Pobernardyńskim.

Jak zaznaczyła Renata Dziemiańczuk, wszystkie zaplanowane imprezy Działu Kultury ZPB odbywają się zgodnie z planem, tylko w innym już trybie – online. „Niektórzy dobrze opanowali technikę nagrywania, innym jest trudniej, ale to są początki – powiedziała wiceprezes ZPB. – Po otrzymaniu nagrań występów są one wysyłane do jurorów. Zapraszamy do jury znanych fachowców od śpiewu wokalnego zarówno z Polski, jak i Białorusi".

Od ponad dwóch miesięcy Związek Polaków na Białorusi prowadzi akcję pomocy białoruskim medykom w walce z epidemią koronawirusa. ZPB przekazał środki ochrony indywidualnej: tysiące ochronnych maseczek i rękawiczek winylowych, płyny do dezynfekcji, przyłbice ochronne i kombinezony do szpitali w Grodnie, Indurze, Brzostowicy Wielkiej. Do akcji charytatywnej włączyli się działacze ZPB m.in. w oddziałach w Lidzie, Wołkowysku, Stołpcach, Borysewie.

Od połowy marca br. trwa praca w innych warunkach, działacze kierują się zasadą, że działać trzeba tak, żeby to było bezpieczne dla zdrowia. Nowa sytuacja pokazuje, na ile jest ważna solidarność ludzka. Na miarę naszych sił i możliwości trzeba nadal pracować i pomagać potrzebującym ■

Dla Sowietów byli zdrajcami

Dramat jeńców, więźniów obozów koncentracyjnych, robotników przymusowych III Rzeszy



JERZY WASZKIEWICZ



ZBOMBARDOWANY MIŃSK. 22 CZERWCA 1941 R.



NIEMCY NA ULICACH MIŃSKA W CZERWCU 1941 ROKU. FOT. ZE ZBIORÓW *BUNDESARCHIV*

22 czerwca 1941 roku od samego rana w audycjach radiowych z Mińska ciągle nadawano muzykę w rytmie marsza z przerwami na krótkie informacje i brawurowe hasła typu „będziemy bili wroga na jego własnym terytorium", oraz inne podobne komunikaty. Lecz o godzinie 9.40 to wróg właśnie dokonał pierwszego zmasowanego bombardowania Mińska. Niemiecka ofensywa na Białorusi rozwijała się błyskawicznie, bo jednostki sowieckie nie były przygotowane do walki.

W oddziałach wybuchła panika, a odwrót zamienił się w ucieczkę. Rejony ufortyfikowane na „dawnej" granicy zostały wcześniej rozbrojone i nie mogły być wykorzystane w celach obronnych. W szóstym dniu wojny, 28 czerwca, wojska niemieckie zajęły stolicę Białorusi. Podczas walk o Białystok i Mińsk do niewoli wzięto ponad 330 tys. sowieckich żołnierzy i oficerów. W ciągu pół miesiąca straty operującego na terytorium Białorusi sowieckiego Frontu Zachodniego wyniosły prawie 420 tys., co stanowiło ponad 66% jego stanu osobowego. Dowództwo Frontu na czele z głównodowodzącym, generałem Dmitrijem Pawłowem, oskarżone o „bezczynność" i „tchórzostwo", zostało rozstrzelane. Dziesiątki tysięcy zabitych, setki tysięcy jeńców w niemieckiej niewoli – tak wysoką cenę zapłacili Sowieci za zamieszanie i niekompetencję swego najwyższego kierownictwa w pierwszych dniach napaści hitlerowskiej.

Zaskoczone nagłą napaścią i źle dowodzone wojsko znalazło się w tragicznej sytuacji. Jeden z wywiadowców NKWD meldował z zajętych przez Niemców obszarów Białorusi, że dowódcy uciekają, pozostawiając czerwonoarmistów na pastwę losu, a większość żołnierzy pochodze-



Sowieccy jeńcy wojenni po uwolnieniu z obozu koncentracyjnego w Sarreguemines

nia miejscowego poddaje się do niewoli lub dezerteruje. Uwolniony po ucieczce enkawudzistów z więzienia pod Orszą Białorusin natknął się w jednej z wiosek pod Borysewem na grupę jej nowych mieszkańców – sowieckich żołnierzy, którzy opuścili rozpadające się oddziały Armii Czerwonej, nie porzucając jednak broni. Potrzebna im była – jak twierdzili, żeby bronić wsi przed ewentualnym napadem „bolszewików", których sporo jeszcze włóczyło się dokoła.

Miliony czerwonoarmistów wolały iść do niewoli, niż walczyć, broniąc partii, rządu, sowieckiej ojczyzny i towarzysza Stalina. Działo się tak mimo specjalnego ich szkolenia, by podczas wojny walczyli do ostatniego naboju, do ostatniej kropli krwi. Przysięga wojskowa, ówczesny sowiecki kodeks karny i inne przepisy nie pozostawiały wątpliwości, że poddanie się i pójście do niewoli zawsze będzie karane śmiercią, na równi z „przejściem na stronę wroga", „ucieczką za granicę", „zdradą" i „dezercją". Rodziny takich oficerów i komisarzy politycznych aresztowywano jako „krewnych dezerterów", zaś rodziny jeńców-szeregowców pozbawiano wszelkiej pomocy i wsparcia ze strony państwa. Taki stosunek do własnych żołnierzy znajdujących się w niewoli niemieckiej świadczył, że władzom chodziło o maksymalne pogorszenie sytuacji jeńców, co ponoć miało dodatkowo zniechęcać do poddawania się przeciwnikowi. Jednak, wbrew wszelkiej indoktrynacji i groźbom w ciągu pierwszych miesięcy wojny 3,8 mln żołnierzy sowieckich, złożyło broń, a w jej przebiegu ponad 5 mln. Co prawda, dotychczas brak dokładnych danych dotyczących sowieckich jeńców wojennych z lat 1941-1945. Dowództwo niemieckie oficjalnie podawało liczbę 5,27 mln osób, strona rosyjska zaś obstaje przy 4,59 mln.

Już pod koniec 1941 roku w ZSRR zaczęto zakładać obozy dla żołnierzy Armii Czerwonej – byłych jeńców lub tymczasowo znajdujących się w okrążeniu nieprzyjaciela. Wśród nich nie brakowało cudem ocalałych więźniów niemieckich *oflagów*, którzy ryzykując życie uciekli z niewoli docierając do „swoich", by znowu znaleźć się za drutem kolczastym. Po zakończeniu wojny traktowano ich jako „wrogów ludu" i „zdrajców ojczyzny", niezależnie od tego, czy poddali się dobrowolnie, czy też zostali wzięci jako ciężko ranni. W taki sposób wobec swych żołnierzy nie postępował żaden rząd na świecie. Zachodnie rządy doliczały swym żołnierzom, którzy byli jeńcami wojennymi, za wysługę lat i kolejne stopnie wojskowe, a nawet do emerytury. Natomiast wszyscy znajdujący się w rękach Niemców żołnierze sowieccy faktycznie zostali uznani przez Moskwę za ludzi wyjętych spod prawa tylko dlatego, że dostali się do niewoli zamiast umrzeć, nawet w beznadziejnej walce. Każdy, kto samowolnie przekroczył linię frontu, był posądzany o „zdradę ojczyzny" i poddawany procedurze „filtracji" przez specjalne jednostki NKWD. Następnie zarówno wojskowych, jak i cywilów kierowano głównie do tzw. armii



Uwolnieni jeńcy sowieccy w Norwegii, którzy zgodnie z umową są przygotowani do przekazania ZSRR. Maj 1945 r. Fot. Wikimedia



W takich warunkach NKWD przewoziło jeńców wojennych do ZSRR



Władze sowieckie skazały swoich obywateli na głód. Fot. Wikimedia

pracy, gdzie rygor utrzymywania niezbyt się różnił od warunków panujących w łagrach. Od końca grudnia 1941 roku „byłych żołnierzy Armii Czerwonej" kierowano do specjalnych obozów, będących właściwie więzieniami wojskowymi o obostrzonym rygorze, w celu ujawnienia ewentualnych szpiegów i dywersantów. W styczniu 1942 roku zatwierdzono stosowną instrukcję NKWD, zgodnie z którą żołnierzy trafiających do niewoli lub znajdujących się w okrążeniu traktowano na równi z jeńcami wojennymi armii przeciwnika. O wiele wcześniej, bo już 28 czerwca 1941 roku wydano wspólny rozkaz NKGB, NKWD i Prokuratora ZSRR, który przewidywał pociągnięcie do odpowiedzialności członków rodzin zaocznie skazanych „zdrajców ojczyzny". Orzekanie w tych sprawach przekazano trybunałom wojennym i kolegiom specjalnym NKWD. Uchwała Państwowego Komitetu Obrony z lipca tegoż roku i następny rozkaz Stalina obostrzyły represje, sankcjonując rozprawy pozasądowe. Na ich podstawie wytworzono instrukcje NKGB i NKWD, które uprawniały organa prowadzące postępowanie karne do aresztowania i zsyłania członków rodzin jeńców wojennych.

Z goryczą pisał o tym Aleksander Sołżenicyn, twierdząc, że „Rosja Sowiecka wyrzekła się swych zdychających dzieci". Rosji jej dumni synowie potrzebni byli dopóki rzucali się pod czołgi i szli do ataku. Ale podjąć się wyżywienia ich w niewoli? To są przecież zbędne gęby do nakarmienia oraz niepotrzebni świadkowie sromotnych porażek. Tych ludzi okrzyknięto zdrajcami, lecz nie oni, nieszczęśnicy, zdradzili ojczyznę, lecz wyrachowana ojczyzna zdradziła ich, i to trzykrotnie. Po raz pierwszy zdradziła ich na polu walki, kiedy to rząd uczynił wszystko, by móc przegrać wojnę: zniszczył linie obrony, wystawił lotnictwo na rozgrom, rozmontował czołgi i artylerię, pozbawił wojsko rozsądnego dowództwa i zabronił armiom stawiać opór. Jeńcy wojenni to byli właśnie ci, którzy wzięli na siebie uderzenie i zatrzymali Wehrmacht. Po raz drugi zdradziła ich bezduszna ojczyzna, pozostawiając umierać w niewoli. I po raz trzeci bezwstydnie zdradzono ich, zwabiając do ojczyzny i zakładając pętlę już na granicy. Jakaż to jest wielomilionowa podłość – zdradzić swoich wojowników i ich właśnie ogłosić zdrajcami.

Od samego początku wojny z Niemcami podejrzenie o zdradę rzucono na wszystkich wojsko-

wych i cywilów znajdujących się po niemieckiej stronie linii frontu. Do tej kategorii zaliczano obywateli sowieckich, którzy trafili do niewoli lub żyli pod okupacją, a także wywiezionych do Niemiec jako „ostarbeiterów". Właśnie wówczas we wszystkich kwestionariuszach ewidencji kadr wprowadzono pytanie o znajdowanie się zatrudnianej osoby lub jej krewnych na terytorium okupowanym przez wroga. Na paradoks może zakrawać fakt, iż rubryka ta przetrwała do 1992 roku, kiedy to ZSRR zniknął już z mapy świata. W krajach europejskich fakt znajdowania się osoby pod okupacją lub w niewoli niemieckiej nie budził żadnych zastrzeżeń, ale w Związku Sowieckim takich ludzi uważano za „niepewnych". Czego się obawiano? Mówili o tym nieraz wprost sowieccy partyjni oficjele. W czerwcu 1945 roku wyrażano obawę, że po wojnie, razem z repatriantami oraz powracającymi z frontu żołnierzami, którzy widzieli kraje zachodnie, zaczną przenikać do ZSRR wpływy „burżuazyjne". „Należy uwzględniać – przekonywał jeden z nich, – iż wielu ze zdemobilizowanych przebywało na terytorium państw burżuazyjnych, widziało gospodarkę kapitalistyczną, burżuazyjną kulturę i demokrację. Niektórzy z nich, zwłaszcza słabo uświadomieni politycznie, podczas znajdowania się na terytorium państw burżuazyjnych ulegli wpływom burżuazyjnym i drobnoburżuazyjnym, będą prowadzili wrogą nam agitację, wychwalać kapitalistyczny ustrój społeczno-ekonomiczny, kulturę i demokrację" – napisano w komunikacie informacyjnym Działu Organizacyjno-Instruktorskiego KC WKP(b).

Brak zaufania do setek tysięcy wywiezionych do prac przymusowych w Niemczech, jeńców wojennych i więźniów obozów koncentracyjnych dobitnie świadczył o daleko posuniętej podejrzliwości władz komunistycznych



Aleksander Sołżenicyn, autor m.in. powieści *Archipelag GUŁAG*. 1973 r.

wobec własnych obywateli. Przez sam fakt swego niekontrolowanego znajdowania się zagranicą, nawet w stanie niewolników i pozbawionych elementarnych praw więźniów, budzili podejrzenia jako „niepewni", wiedzący, co kryje się za nieprzenikalnym murem, odgradzającym Związek Sowiecki od świata zewnętrznego. W końcowym okresie wojny rosyjska prasa emigracyjna w Niemczech informowała o makabrycznym wydarzeniu w „wyzwolonym" przez Armię Czerwoną niemieckim obozie dla robotników ze Wschodu nad rzeką Mała Panew, na Górnym Śląsku. 20 stycznia 1945 roku sowieckie czołgi dotarły do tego obozu, w którym utrzymywano przeważnie Rosjan i Ukraińców. Czołgiści, zobaczywszy wybiegających ku nim rodaków, zatrzymali maszyny. Dowódca kolumny kazał wszystkim więźniom zebrać się na placu. Gdy większość z nich, głownie kobiety, starcy i dzieci, wykonała rozkaz, z czołgów nieoczekiwanie otworzono do nich ogień z cekaemów. Usiłujących uciekać rozjeżdżano gąsienicami. W ciągu kilku minut wymordowano kilkaset ludzi.

Potok powracających do Związku Sowieckiego wzmógł się gwałtownie w 1944 roku. Bezpiece i kontrwywiadowi nakazano sprawdzania każdego przybywającego. Chodziło już nie o dziesiątki, a nawet nie tysiące, tylko o setki tysięcy, miliony obywateli. Dla ich skontrolowania na obszarach przygranicznych zorganizowano ośrodki „filtracyjne", gdzie decydowano o dalszych losach powracających do ojczyzny ludzi. Centra te były nieprzystosowane do życia, otoczone drutem kolczastym i przypominały raczej łagry. Nawet racje żywnościowe ustalano tam według przydziałów istniejących w GUŁAG-u. „W Niemczech żyliśmy za drutem kolczastym, przyjechaliśmy do ojczyzny – i znowu trafiliśmy za kolec" – mówili obrażeni repatrianci. Po zakończeniu repatriacji, w dn. 1 grudnia 1946 roku, zarejestrowano 1 833 567 jeńców wojennych i 3 582 358 osób cywilnych, czyli w sumie ponad 5,4 mln repatriantów. Kierownictwo sowieckie zamierzało „zintegrować" ich ze społeczeństwem, nie wywołując „niepożąda-



Malarz Michaił Sawicki nie mógł wyjeżdżać za granicę tylko dlatego, że podczas wojny był jeńcem obozu koncentracyjnego

nych" konsekwencji politycznych. Szczególnego niebezpieczeństwa dopatrywano się w tych, którzy zostali wyzwoleni przez wojska alianckie, posądzając ich o pracę na rzecz obcego wywiadu (alianci przekazywali obywateli sowieckich władzom ZSRR). O tym, jak przebiegał powrót do ojczyzny, opowiedziała jedna z białoruskich „ostarbeiterek":

– Do amerykańskiej strefy okupacji przybyli przedstawiciele sowieckiej administracji, powinszowali nam wyzwolenia, rychłego powrotu do ojczyzny. Rozmieszczono nas w wagonach pierwszej klasy. Konduktorzy witali nas życzliwie, z uśmiechem, częstowali herbatą, oczy nam zachodziły łzami radości. Lecz ledwie wyjechaliśmy z amerykańskiej strefy okupacji i znaleźliśmy się w strefie sowieckiej, życzliwość z twarzy konduktorów zniknęła. Zamienili się nagle w nadzorców i konwojentów. Nas, jak aresztantów, załadowano do bydlęcych wagonów towarowych i zawieziono do łagru filtracyjnego, gdzie przez cały rok filtrowano.

Po powrocie do domu i kilkakrotnym „sprawdzeniu" repatrianci musieli stawić się w lokalnych organach NKWD, gdzie ich rejestrowano i wydawano zamiast dowodu osobistego kartę tymczasowego pobytu(!). Takich było w 1946 roku ponad 2 mln osób. Żyli w ciągłym napięciu i strachu, nie wspominając o wydarzeniach wojennych, na skutek, których znaleźli się w niemieckiej niewoli. Powracający do BSRR trafiali do kontrolno-filtracyjnych ośrodków NKWD zorganizowanych w Brześciu, Wysokiem Litewskim, Prużanie, Wołkowysku i Grodnie. Faktycznie były to obozy o dość ostrym rygorze. Po kapitulacji Niemiec, kiedy zwiększyła się fala repatriantów, zaczęto tworzyć ośrodki kontrolno-etapowe. Przy każdym z nich funkcjonowały komisje kontrolno-filtracyjne, w skład których wchodzili funkcjonariusze NKWD, kontrwywiadu i bezpieczeństwa państwowego (NKGB). Skontrolowanych repatriantów kierowano do obwodowych punktów odbiorczo-rozdzielczych, powołanych w sierpniu 1944 roku.

Uwolnionych żołnierzy skrupulatnie przesłuchano, a połowę z nich (ponad milion osób) przeniesiono do obozów pracy przymusowej. Ludzi, którzy przetrwali koszmar nazistowskiej niewoli, skazano na męczarnie we własnym kraju. Jak wynikało z rozkazu nr 270 z dn. 16 sierpnia 1941 roku, żołnierze mieli walczyć do ostatniego. Poddający się czerwonoarmiści i jednostki wojskowe podlegali likwidacji „wszelkimi środkami, zarówno naziemnymi, jak i powietrznymi". Zgodnie z nim sowieckie lotnictwo bombardowało przepełnione obozy jenieckie, w których Niemcy utrzymywali żołnierzy Armii Czerwonej, m. in. pod Orłem i Nowgorod-Siewierskim. Dowódcy mogli być rozstrzelani na miejscu jako dezerterzy. Według danych rosyjskich specjalistów, ogłoszonych podczas niemiecko-rosyjskiej konferencji poświęconej tematowi archiwów, która się odbyła w Dreźnie 6 lip-

ca 1997 roku, same tylko sowieckie trybunały wojskowe w latach 1941–1945 wszczęły postępowanie wobec miliona swych żołnierzy i wykonały na nich nie mniej niż 157 tys. wyroków śmierci. Nawet wymiar sprawiedliwości niemieckiego Wehrmachtu, bardzo surowy zresztą w okresie II wojny światowej, mógł uchodzić za niemalże umiarkowany w porównaniu do barbarzyńskich praktyk sowieckich trybunałów wojskowych – podaje I. Gofman.

Wspominaliśmy wyżej, że jeszcze w 1941 roku w ZSRR organizowano specjalne łagry dla żołnierzy przedostających się przez linię frontu od strony niemieckiej. W 1945 roku nadano im nazwę łagrów kontrolno-filtracyjnych, podporządkowanych NKWD. Przetrzymywano w nich tzw. kontyngent specjalny, czyli byłych sowieckich jeńców wojennych, żołnierzy, którzy znaleźli się w okrążeniu, szeregowych policjantów, sołtysów z terenów zajętych przez Niemców oraz inne osoby cywilne, co do których istniało podejrzenie o „zdradę ojczyzny". Trafiali tam także mężczyźni-cywile w wieku poborowym, zamieszkali na terytorium okupowanym. Przez te łagry w latach 1941–1944 przetoczyło się ponad 420 tys. ludzi.

Jako „niepewnych" i niezasługujących na zaufanie napiętnowano również wszystkich obywateli przebywających pod okupacją. Potraktowano ich od razu jako ludzi gorszego gatunku. Osób tych nie powoływano na określone stanowiska, w stosunku do nich obowiązywał absolutny zakaz wyjazdu za granicę. Logikę rozumowania sowieckiego, niepotrzebującego dowodów na poczytywane za winę czyny, doskonale oddaje wypowiedź sekretarza leningradzkiego komitetu miejskiego WKP(b) Frola Kozłowa. Podczas kolejnej powojennej czystki partii, nie znalazłszy żadnych faktów świadczących



ZNANA BIAŁORUSKA AKTORKA STEFANIA STANIUTA TEŻ BYŁA „NIEWYJEZDNA", PONIEWAŻ JEJ OJCIEC MIESZKAŁ NA TERENACH OKUPOWANYCH PRZEZ NIEMCÓW

o powiązaniu sekretarza komsomołu obwodu leningradzkiego z grupą już represjonowanych komunistów, rzucił pod jego adresem: „Oddychaliście tym samym powietrzem, co ONI! To wystarczy". O wiele gorszy był los tych, którym zarzucono podjęcie pracy podczas okupacji. Białoruskiego kompozytora Aleksieja Turankowa oskarżono o „zdradę ojczyzny" i skazano na dziesięć lat łagrów na podstawie tego, że w okresie niemieckiej okupacji Mińska „pracował w domu". Malarza Mikołaja Gusiewa, usiłującego podczas okupacji wyżywić rodzinę, malując portrety niemieckich oficerów, także uznano za kolaboranta i skazano na cztery lata pozbawienia wolności.

O dopuszczeniu się „zdrady" nigdy nie zapominano. Redakcja Białoruskiej Encyklopedii Radzieckiej w latach 60.–70. nadal otrzymywała „wskazówki" zakazujące umieszczania w niej nazwisk artystów, którzy w czasie wojny znajdowali się pod okupacją. Na początku lat 60., kiedy to w ZSRR z rzadka zaczęto udzielać zezwoleń na wyjazdy zagraniczne, istniały niejawne zakazy, o których normalny, logicznie rozumujący człowiek nawet nie podejrzewał. Na przykład nie mogli wyjeżdżać za granicę tak znane na Białorusi osoby, jak słynny malarz Michaił Sawicki, wybitna aktorka Stefania Staniuta, znany kompozytor Hienrych Wahner, bo pierwszy podczas wojny był jeńcem, ojciec drugiej przebywał pod okupacją, trzeci zaś po prostu był Żydem. W sowieckim partyjnym żargonie takich ludzi nazywano – „dla użycia wewnętrznego" – pisał I. Ciszczenko.

Związek Sowiecki był jedynym krajem na świecie uznającym za czyn karalny wzięcie do niewoli swych żołnierzy, prześladującym i dyskredytującym własnych obywateli za sam fakt znajdowania się na okupowanym przez wroga terytorium ■

Zułów – miejsce urodzenia Marszałka Piłsudskiego



MIECZYSŁAW JACKIEWICZ

Miejscowość Zułów (lit. Zalavas) położona jest 60 km na północny wschód od Wilna, administracyjnie w d. powiecie święciańskim, obecnie w rejonie święciańskim Litwy. Jest to wieś i teren dawnego majątku nad rzeką Merą, także przystanek kolejowy na linii kolejowej Podbrodzie-Postawy. Dziś nieczynny.



DĄB ZASADZONY PRZEZ PREZYDENTA II RP IGNACEGO MOŚCICKIEGO W 1937 R. Z OKAZJI OTWARCIA PARKU-REZERWATU W ZUŁOWIE

Miejscowość ta po raz pierwszy pojawia się w źródłach jako Maciany, później, w XVII wieku - Zułów. Wielokrotnie zmieniała swoich właścicieli. Była m.in. własnością Giedroyciów, Aleksandra Woyny-Jasienieckiego, zaś od początku XIX w. właścicielami Zułowa byli Michałowscy, a od nich drogą wiana przeszły do Billewiczów, pochodzących ze Żmudzi. W 1863 r. Zułów jako posag Marii Billewiczówny, która wyszła za mąż za swego kuzyna Józefa Wincentego Piłsudskiego, trafił w posiadanie rodziny Piłsudskich.

Zułów stanowił tylko fragment majątku Marii z Billewiczów Piłsudskiej, bowiem wniosła ona w wianie także inne dobra, czyniąc swego męża osobą zamożną. Były to m.in. majątki w Sugintach w pobliżu miasta Malaty przy drodze Wilno-Dyneburg, Tenenie i Adamów w pobliżu Szyłeli na Żmudzi, w sumie Maria Billewiczówn wniosła J.W. Piłsudskiemu ok. 8 tys. ha gruntów ornych i lasów

Po ślubie 23 kwietnia 1863 r. w Teneniach Józef Wincenty i Maria Piłsudscy przeprowadzili się do Zułowa, bo Józef Wincenty w powstaniu był komisarzem Rządu Narodowego w powiecie kowieńskim, groził mu areszt, więc by zatrzeć ślady działalności powstańczej, osiedli w Zułowie w powiecie święciańskim guberni wileńskiej.

Dwór Piłsudskich opisał Władysław Pobóg-Malinowski w książce „Józef Piłsudski 1867-1914" (Londyn, b.r.w.): „Duży modrzewiowy dwór – wewnątrz dwanaście obszernych pokoi, portrety przodków na ścianach; dookoła dworu blok zabudowań folwarcznych i przemysłowych; przed oszklonym gankiem – wielki gazon, za nim brama wjazdowa z herbowymi tarczami; na lewo od gazonu sady owocowe, ogrody; nie szeroka, lecz wartka i głęboka Mera otaczała dwór malowniczym półkolem z wpadających do niej dwóch strumyków – Paprotki i Zułówki – pierwszy tworzył duży i głęboki staw z wysmukłymi topolami nad brzegiem; wzdłuż Mery ciągnął się drugi sad i piękna aleja świerkowa, poza tym łączyły dwór z rzeką szeregi starych lip; malowniczym zakątkiem był pagórek, zadrzewiony tuż nad rzeką. Zaraz za folwarkiem ciągnęły się lasy, w głębi tworzące już raczej puszczę; w lesie tym, w odległości paru kilometrów od dworu, chowało się duże jezioro Piorun". Dom prowadzono z rozmachem, utrzymywano liczną służbę, rezydentów i nauczycielki: Francuzkę i Niemkę, co pozwalało dzieciom Piłsudskich niemal od kołyski poznawać języki obce. Atmosfera domu była bardzo pa-



Zabudowania dworu Piłsudskich. Na pierwszym planie widoczny krzyż z czasów powstania styczniowego. Po prawej budynki gorzelni i drożdżowni. 1934 r.



Dwór Piłsudskich w Zułowie. Zabudowania dworskie - widok z drogi. 1934 r.



Zachowana oficyna dworska w Zułowie, gdzie rodzina Piłsudskich mieszkała po pożarze dworu w 1875 r.

triotyczna. Matka przyszłego marszałka była wielką patriotką, uczyła swe dzieci dziejów walk o niepodległość, wpajając miłość do Polski, konieczność walki o nią i poświęcenia dla ojczyzny. Uczyła dzieci „Śpiewów historycznych" Juliana Ursyna Niemcewicza, poezji A. Mickiewicza o „Reducie Ordona", o Emilii Plater i innych bohaterach.

Ojciec Marszałka Józef Wincenty Piłsudski był na owe czasy człowiekiem wykształconym, po ukończeniu szkół w Krożach i Wiłkomierzu, odbył studia rolnicze w Instytucie Rolniczym w Hory-Horkach niedaleko Mohylewa. Był teoretycznie dobrze przygotowany do pracy na roli. W Zułowie rzucił się w wir działalności inwestycyjnej. Pomysł gonił za pomysłem, zaczynał coś budować, ale nie kończył. Z jego inicjatywy rozpoczynano wznoszenie jakichś budynków gospodarczych, które następnie przez lata straszyły nieukończonymi murami. Inwestował w produkcje drożdży, terpentyny, budował gorzelnie, rozbudował młyny.

Ludwik Krzywicki, który znał rodzinę Piłsudskich pisze we „Wspomnieniach" o gospodarce J.W. Piłsudskiego: „Kupował maszyny rolnicze, o których posłyszał i które były na miejscu za granicą, ale w Wileńszczyźnie, wobec niezmiernej taniości siły roboczej, nie opłacały się, robotnik zaś był nieokrzesany, przewybornie chadzał z sochą i drewnianą broną, ale nie umiał obejść się z broną żelazną w różnych jej odmianach. Maszyny te niszczały nie używane, przekształcając się z wolna w żelastwo rdzą pokryte. Założył gorzelnię. Grunta zułowskie nadawały się do produkcji kartofli, lecz właściciel nie nadawał się na przedsiębiorcę-gorzelnika. Akurat podczas kampanii mającej się rozpocząć, a rozpoczęcie między innymi zależało od obecności akcyźnika, Piłsudski wyjechał z majątku. Rozpoczęto pędzenie spirytusu, lecz okazało się, że nie przygotowano naczyń w dostatecznej ilości do pomieszczenia produktów. Trzeba było z gospodarstwa domowego wziąć wszystkie kotły, rondle, stągwie, kubły. Naturalnie tego było za mało, więc produkowany w dalszym ciągu spirytus wylewano na ziemię".

Józef Wincenty Piłsudski był owładnięty ideą przekształcania Zułowa we wzorcowy ośrodek rolniczo-przemysłowy, oddziałowujący na okolicę. Wszystkie obiekty



Irena KALINOWA

Kwiaty dla Marszałka

przemysłowe budował niestety z modrzewia, najbardziej dostępnego budulca, który zdobywał we własnych lasach. Był on jednak tak łatwopalny, że płonął jak zapałka W lipcu 1872 r. w majątku wybuchł pożar, który strawił wszystko, dwór z biblioteką i meblami, stajnie, obory, zabudowania gospodarcze i fabryczki. Gdy ogień ogarnął Zułów, zostały z niego tylko popioły.

Piłsudscy musieli przeprowadzić się do Wilna, a ich sytuacja materialna znacznie się pogorszyła. W 1882 r. zadłużony majątek sprzedano na licytacji. Początkowo kupił go przez podstawionego człowieka hrabia Michał Mikołaj Ogiński. Po pewnym czasie sprzedał majątek kupcowi z Rygi Klimowowi, zaś od niego odkupił Zułów emerytowany kapitan rosyjski (w innych źródłach generał) Kurnosow. Ten podzielił część majątku na działki, które sprzedawał. W 1915 r. Kurnosow uciekł przed niemiecką ofensywą do Rosji. Niemcy okupowali Zułów do końca wojny, prowadząc w jego dobrach rabunkową gospodarkę.

Gdy Niemcy „gospodarzyli" w Zułowie i traktowali go jako majątek „ruskiego oficera", zachowywali się jak barbarzyńcy. Sądzili, że grobowiec Joachima Michałowskiego (1744-1831) i jego żony Ludwiki z Taraszkiewiczów (zm. w 1858) w dworskiej kaplicy zawiera skarby, rozbili go, wyciągnęli trumnę i rozrzucili jej zawartość przed kaplicą. Szczątki leżały dłuższy czas aż do wkroczenia do Zułowa w maju 1919 r. pierwszego oddziału Wojska Polskiego, składającego się z 5 kompanii 5. Pułku Piechoty Legionów. Dowodził nimi podporucznik Marian Malicki, oficer I Brygady. „Oficer ten, jak pisze Marek A. Koprowski, polecił zebrać szczątki i w uporządkowanej kaplicy powtórnie z honorami wojskowymi je pochować. Na jego polecenie kamieniarz wykuł na tablicy nowy napis: „Tu spoczywa ś.p. Joachim Michałowski z Zułowa. Dziad naszego ukochanego Komendanta Józefa Piłsudskiego, Wodza i Naczelnika Państwa. Przez bezgraniczną cześć i posłuszeństwo dla Niego, rozrzucone przez barbarzyńców Niemców, drogie nam zwłoki ś. p. Joachima Michałowskiego – zebraliśmy. Cześć im! Oficerowie i żołnierze 5 kompanii 5 p.p. leg. forpoczty – Baduli, dn. 12 maja 1919 r."

Marek A. Koprowski pisze, że „w 1919 roku marszałek przybył do Zułowa, żeby oddać hołd sprofanowanym i powtórnie pochowanym szczątkom swego pradziada Joachima Michałowskiego. Podczas swojego pierwszego pobytu w Zułowie Józef Piłsudski spotkał się też z żyjącymi osobami, które pamiętały jego rodzinę i jego osobiście. Na pytanie, czy zamierza tu wrócić odpowiedział: „Nic tutaj nie ma ciekawego, ale w rodzonej stronie to i wiatr pachnie". Ciekawe, że Wacław Jędrzejewicz w książce „Kronika życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935" nie notuje, by Marszałek będąc w 1919 roku w Wilnie odwiedził Zułów. Tenże M.A. Koprowski pisze też, że w „1927 r. marszałek był na manewrach wojskowych w pobliskiej Pohulance i zajrzał do Zułowa. Z relacji świadków wynika, że obszedł wtedy w milczeniu cały teren i z żalem podsumował:

„Ech, lepiej już spalcie do reszty to wszystko, niż ma być tak jak teraz", te informacje bezkrytycznie powtórzył w 2003 roku Jerzy Surwiło w książce „Zdarzenia, fakty, anegdoty", jednakże kronikarz Wacław Jędrzejewski w znakomitej pracy „Kronika życia Józefa Piłsudskiego" nie notuje, by Józef Piłsudski w latach dwudziestych XX wieku przebywał na manewrach w Pohulance lub w Zułowie. W 1921 r. Zułów przeszedł pod zarząd państwowy, majątek ziemski zmniejszony został do 65 ha i przekazany pobliskiej jednostce wojskowej jak tzw. gospodarstwo pomocnicze.

Idea odbudowy Zułowa trafiła na podatny grunt w 1934 r. podczas Walnego Zjazdu Delegatów Związku Rezerwistów. Podjął on uchwałę o odbudowie Zułowa. M.A. Koprowski pisze: „Utworzony został specjalny „Komitet Odbudowy Zułowa", na czele którego stanął prezes Związku Rezerwistów minister spraw wewnętrznych Marian Zyndram-Kościałkowski. 11 listopada 1934 r. przedstawiciele Komitetu złożyli w Belwederze meldunek: „Panie Marszałku! Zarząd Główny Związku Rezerwistów melduje posłusznie, iż zgodnie z uchwałą Walnego Zjazdu Delegatów Z.R. – powołany do życia Komitet Odbudowy Zułowa majątek Zułów wykupił. Równocześnie meldujemy posłusznie Panu Marszałkowi, że postanowiliśmy do 11 listopada 1935 r. doprowadzić dzieło nasze do końca przez odbudowę Zułowa do takiego stanu i takiej postaci, w jakiej pozostał w twej Panie Marszałku pamięci". Meldunek ten został wpisany do księgi audiencjonalnej Belwederu".

Śmierć Józefa Piłsudskiego 12 maja 1935 r. sprawiła, że po pewnym czasie zaniechano odbudowy dworku w Zułowie jako wiejskiej rezydencji marszałka. M.A. Koprowski pisze, „iż wdowa po marszałku kategorycznie odrzuciła możliwość zamieszkania w odbudowanym dworku jednej z córek i powtórnego przejęcia Zułowa na własność przez rodzinę Piłsudskich. Z inicjatywy M. Zyndrama-Kościałkowskiego Komitet postanowił przekształcić Zułów w miejsce pamięci narodowej, miejscem pielgrzymkowym, służącym kultywowaniu pamięci marszałka i kształtowaniu patriotyzmu. Rozpisano specjalny konkurs na stworzenie w Zułowie rezerwatu. Z nadesłanych prac jury wybrało i przeznaczyło do realizacji projekt inż. arch. prof. Romualda Gutta i inżynier ogrodnictwa Alicji Scholtzówny. Wdrażając go w życie, stworzono w Zułowie park-rezerwat. Wzmocniono i podwyższono i obłożono kamiennymi płytami fundamenty spalonego dworu, plac wokół otoczono kamiennym murkiem, a cały teren uporządkowano i obsadzono drzewami i krzewami ozdobnymi".



Podczas obchodów 150-lecia urodzin Marszałka w Zułowie. 2017 r.

Otwarcie parku-rezerwatu nastąpiło w 1937 r. Wziął w nim udział prezydent Ignacy Mościcki i przedstawiciele najwyższych władz państwowych, a także wdowa po marszałku. Prezydent zasadził w obrębie fundamentów dąb. Uczynił to w miejscu, gdzie znajdowała się kołyska Józefa Piłsudskiego, jako symbol „wiecznotrwałości".

W jesieni 1939 r. po wkroczeniu Sowietów na Wileńszczyznę cały rezerwat został zniszczony. W okresie kolejnych okupacji Wileńszczyzny nadal dewastowano rezerwat, ale nie spiłowano dębu. Dąb Marszałka rósł nadal. Po II wojnie światowej, w latach pięćdziesiątych XX wieku, gdy w Litwie Radzieckiej organizowano kołchozy i sowchozy, władze komunistyczne rejonu święciańskiego w byłym majątku Piłsudskich urządziły sowchoz, którego głównym obiektem stała się hodowlana ferma. W miejscu dworu zbudowali duże silosy na kiszonkę z kukurydzy dla bydła. Rozjeżdżono ciężkim sprzętem całe otoczenie. Całkowitemu zniszczeniu uległ starannie zaplanowany park. Nie ma śladu po drzewach i krzewach. Rzeka Mera została wyprostowana i uregulowana. Jednakże przetrwał dąb Józefa Piłsudskiego.

W latach dziewięćdziesiątych XX w., gdy powstał Związek Polaków na Litwie, dąb został ogrodzony niewielkim płotkiem, na którym umieszczono dwie litery „J.P.". Z inicjatywy Anny Jurkiewicz, członkini Związku Polaków na Litwie i wicemer rejonu święciańskiego, zaczęto oczyszczać i porządkować teren byłego majątku Piłsudskich. Dopiero po 2002 r. Polacy z ZPL doprowadzili Zułów do należytego porządku ■

Dymitr ZAGACKI

Podróż do przeszłości

DREWNIANY LAMUS W WIELKIEJ LIPIE

DYMITR ZAGACKI

W niniejszym artykule pragnę podzielić się swymi wrażeniami od zwiedzenia dwóch niegdyś przepięknych dworów, położonych na granicy obwodów mińskiego i brzeskiego. Do wybuchu II wojny światowej kwitło tam życie, stanowiły one oazę kultury oraz wzorowo prowadzone gospodarki. Obecnie są to ruiny, jednak mają one sporo uroku, że chce się tam powracać.



Dymitr ZAGACKI

OFICYNA DWORSKA W WIELKIEJ LIPIE

Dwór w Wielkiej Lipie

Wielka Lipa to miejscowość położona w pobliżu Nieświeża. Najlepiej tam dojechać samochodem, można też jadąc pociągiem z Mińska lub z Baranowicz, wysiąść na stacji kolejowej Lipa, potem pieszo przejść ok. 5 km, najpierw drogą leśną, a potem polną. Droga się nie znudzi, bo dookoła są piękne krajobrazy.

Dwór w Wielkiej Lipie jest szczegółowo opisany w II tomie „Dziejów rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej" Romana Aftanazego. Oto kilka faktów z jego historii. Za panowania Zygmunta Starego dobra te były własnością Radziwiłłów. Najprawdopodobniej w drugiej połowie XVI wieku majątek ten przeszedł w ręce rodziny Obuchowiczów herbu Jasieńczyk III i pozostawał w jej rękach aż do 1939 roku. Pierwszym znanym właścicielem Lipy odziedziczonej po przodkach był Filip Obuchowicz (zm. w 1656), poseł na sejmy, wojewoda smoleński. Po nim dobra te odziedziczył jego młodszy syn Teodor Hieronim (1643–1707), również poseł na sejmy, kasztelan nowogródzki.

Według przekazów rodzinnych, to Filip Obuchowicz zbudował w Lipie murowany dwór z cegły w pierwszej połowie XVII w., przebudowany dopiero w XVIII wieku w stylu klasycystycznym. Niewielka wzmianka o tym dworze w Lipie znajduje się w pamiętnikach Edwarda Czapskiego. Pisał on, że „był tam dwór obszerny i dwie wygodne oficyny, ogród angielski, niewielki, ale bardzo gustownie założony. Podwórze klombami drzew obsadzone. Biblioteka wyborna...".

Ostatnia przebudowa miała miejsce na początku ubiegłego wieku, kiedy to dwór oraz część budynków gospodarczych przebudowano w stylu neogotyckim.

Dwór, niestety, został zburzony podczas II wojny światowej. O tym, jak wyglądał, możemy sądzić oglądając jedynie fotografie autorstwa Jana Bułhaka.

Zachowały się natomiast oficyna i budynki gospodarcze. Jak pisze Roman Aftanazy, oficyna mieściła osiem pokoi. Jeden z nich, na piętrze, zajmowały zbiory archiwalne i biblioteka. Archiwalia sięgające XVI w. przechowywano w ozdobnych szafach. Były wśród nich nadania królewskie, testamenty, korespondencja rodzinna. Obecnie budynek stoi pusty. Poszczęściło mi się, bo przez niedomknięte drzwi udało trafić wewnątrz. Na piętrze jeden z pokoi oddzielony od innych arkami gotyckimi z ostrym łukiem. Właśnie tam przed wojną przechowywali Obuchowiczowie swoje cenne zbiory.



Dymitr ZAGACKI

Brama podjazdowa ze stajniami zdobiona kartuszami

Bodajże najciekawszym z zachowanych budynków jest brama podjazdowa ze stajniami. Zdobiona kartuszami w postaci rycerzy mającymi przypominać sławne tradycje rodu Obuchowiczów. Źródła podają, że to takie jedyne na Białorusi.

Naprzeciwko oficyny jest usytuowany lamus. Za czasów ostatnich dziedziców nie uległ przebudowie, zachowując cechy klasycyzmu. Budynek posiada podcień o trzech arkadach z umieszczonymi pomiędzy nimi czterema kolumnami. Warto zaznaczyć, że lamusy dworskie przeznaczone było początkowo do przechowywania cennych przedmiotów, dopiero później stały się budynkami gospodarczymi dla przechowania sprzętów, narzędzi, zboża i żywności.

Obecnie teren dworu w Lipie przecięty jest drogą asfaltową. Po drugiej stronie drogi znajdują się jeszcze dwa zabytkowe budynki – to gorzelnia i jeszcze jeden lamus. Ten ostatni jest całkiem zbudowany z drewną. To jedyny z obiektów dawnego dworu, niepopadający na razie w ruinę i do dziś jest wyko-

rzystywany przez ludzi.

Zadźwieja koło Baranowicz

Dobra w Zadźwiei są znane od XV wieku, właśnie z tamtego okresu pochodzi pierwsza wzmianka o nich. W XVIII w. wieś i dwór stały się własnością Mierzejewskich. Jeden z najbardziej zasłużonych przedstawicieli tej rodziny – Maciej Mierzejewski, uczestnik wojen napoleońskich, który to w randze kapitana szwoleżerów brał udział w bitwie pod Somosierrą. Jak pisze Aftanazy, jego portret konny, czaprak oraz ordery *Virtuti Militari* i Legii Honorowej oddane zostały ok. 1890 r. do Muzeum Lubomirskich we Lwowie. Prawdopodobnie to Maciej Mierzejewski rozbudował w Zadźwiei stary dwór i ogród. Dwór stał się własnością Czeczottów, gdy Maria Mierzejewska wychodząc za mąż za Ignacego Czeczotta – wniosła majątek w posagu. Majątek pozostał w tej rodzinie do 1939 roku. Ostatnią właścicielką była Florentyna z Czeczottów Regulska.

We dworze przez pewien czas mieszkał Jan Czeczot, gościł tu Adam Mickiewicz.

Podobnie do wielu innych polskich gniazd szlacheckich dwór uległ zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Przetrwały tylko niektóre budynki gospodarcze wykorzystywane w okresie powojennym przez miejscowy kołchoz. Obecnie, jak i zabudowania w Lipie, stoją one puste i powoli niszczeją. Wrażenie robi neogotycka lodownia, która swoją architekturą bardziej przypomina kaplicę.

Takie podejście do budowy lodowni staje się zrozumiałe, gdy sięgnąć do podręczniku budownictwa z końca XVIII wieku. W dawnych bowiem czasach lodownie były luksusem. Stać było na nie jedynie ludzi majętnych. Wiosną i latem przechowywano w nich nabiał, konfitury, lody, wino, piwo oraz mięso i ryby. Lodownie budowano w lochach i zagłębieniach, najlepiej w zalesionym lub zacienionym miejscu w pobliżu dworu. Na dnie wykopanego dołu układano posadzkę z kamieni i mur sięgający aż do góry lodowni czyli do poziomu ziemi. W murze montowano żelazne haki i drewniane kołki – miejsca, w których zawieszano zwierzynę i ptactwo. Należało także zadbać o mały kanał, którym miała być wyprowadzana woda z topniejącego lodu. Lód był pozyskiwany zimą ze stawów, jezior i rzek w postaci tafli i brył. Jeśli nie było doń dostępu, ubijano śnieg i polewano go wodą, by po zamrożeniu stworzył bryłę lodu. Lód do lodowni był zwożony saniami i ustawiany na drewnianych półkach, a następnie izolowany przez przykrycie słomą, trocinami, mchem lub sitowiem.


Dymitr ZAGACKI

LODOWNIA W ZADŹWIEI

Naprzeciw lodowni znajduje się budynek serowarni. Produkcja serów stanowiła poważne źródło dochodów szlachty, szczególnie po upadku powstania styczniowego, kiedy liczono każdy grosz. Ciekawym faktem jest to, iż na warzenie serów na terenie współczesnej Białorusi wpłynęli menonici holenderscy, których potomkowie ok. 1860 r. wprowadzili wyrób kulistych serów holenderskich, zwanych później litewskimi.

Nieco w oddali można zobaczyć trzeci budynek pozostały od dawnego dworu Mierzejewskich – stajnię.

Dwory w Zadźwiei i Lipie łączy podobny los: obydwa spłonęły w czasie wojny. Budynki gospodarcze wykorzystywano bardzo długo. Teraz porzucone popadają powoli w ruinę. Może znajdą się jacyś przedsiębiorcy i urządzą np. gospodarstwa agroturystyczne. Na stajni w Lipie wisi tablica, że budynek ma wartość historyczną i jest pod ochroną państwa. Czy można mieć nadzieję, że zostaną uratowane owe zabytki? Jeszcze pół roku temu napisałbym, że tak. Ale w epoce koronawirusa ludzie mają, przynajmniej na razie, inne problemy... ■

Stefan Wyszyński. Różańcowe tajemnice Narodu



PIOTR JAROSZYŃSKI



PRYMAS POLSKI STEFAN WYSZYŃSKI WYGŁASZA HOMILIĘ PODCZAS UROCZYSTEJ SUMY PONTYFIKALNEJ NA PLACU PRZED KATEDRĄ W POZNANIU 17 KWIETNIA 1966 R. FOT. ZE ZBIORÓW NAC

Stefan Kardynał Wyszyński, zwracając się w tysiącach swoich homilii do narodu i wiernych, miał oczy, serce i umysł utkwione w dwa punkty: w Boga i w Ojczyznę. Wiedział bowiem, że jako prymas Polski, a zarazem *interrex*, czyli jakby król w okresie bezkrólewia – zwłaszcza zaś w czasach zniewolenia i panowania barbarzyństwa, odpowiada za to, co stanie się z Polakami, co stanie się z Polską, jeśli zatracimy pod naporem zła naszą narodową i katolicką tożsamość.

Bystry to był wzrok, czułe serce, przenikliwy umysł. Wiele wymagał, dlatego że kochał.

Wolność i niepodległość ojczyzny były dlań jako cel sprawą bezdyskusyjną. Nie do pomyślenia była bowiem sytuacja, w której Polacy zrezygnowaliby z suwerenności, godząc się na zawsze z przynależnością do innego państwa, na zawsze wyrzekając się tego, że są Polakami, to znaczy, że mają swoją kulturę i wierzą w Boga. Zdarza się, że naród zostaje podbity – to może przydarzyć się każdemu narodowi. Ale to nie oznacza jeszcze utraty tożsamości, pod warunkiem, że naród się z tym nie godzi i robi wszystko, by niepodległość odzyskać. Nawet więcej, ta walka o niepodległość może koniec końców naród wzmocnić i podnieść na wyższy poziom ideowy i moralny. Nasza walka o niepodległość w czasach zaborów nie była czasem straconym, nie była czasem regresu, lecz właśnie okresem niezwykłego rozwoju naszej kultury, okresem poszerzania się społeczeństwa polskiego o warstwy do tej pory w życiu politycznym niemal nieobecne, takie jak chłopi czy mieszczaństwo. Na jakże niższym poziomie kulturowym i moralnym stały czasy bezideowego pokoju i moralnego upadku – czasy saskie.

Więc nie można załamywać rąk i narzekać, przeciwnie – trzeba wziąć się w garść. Prymas w roku 1970 tłumaczył: „Nieraz już w dziejach ziemia polska użyźniona była krwią najlepszych swych dzieci. Z takiej właśnie gleby wyrosło zmartwychwstanie narodu i zrodził się kwiat wolności. Naród wyrasta z pokoleń minionych i dzieje narodu odżywiają się przeszłością. Zdarzenia bolesne czy radosne w historii, to jak gdyby jego tajemnice radosne, bolesne i chwalebne" (16 sierpnia 1970). Jest niesamowite, jak prymas, przemawiając przecież wewnątrz bloku sowieckiego, w komunistycznym PRL-u, gdzie z jednej strony stacjonowały wojska sowieckie, z drugiej zaś grasowała milicja, ZOMO i tajne służby, wkraczał na ambonę i przyrównywał dzieje narodu polskiego do... tajemnic różańca. Mówił o ofiarach, ale nie nawoływał do przemocy czy terroryzmu, nawoływał do modlitwy oraz do pokonywania zła mocą dobra i potęgą ducha.

Nam dziś trudno sobie wyobrazić, jak ks. prymas Stefan Wyszyński kochał naród polski. Tak, kochał, bo gdy mówił o narodzie, to nie były tylko puste lub czcze



PRYMAS TYSIĄCLECIA

deklaracje, to było jakieś tajemnicze przylgnięcie, miał właśnie to „wyczucie narodu". Idzie „o wyczucie narodu", mawiał. Mawiał i przemawiał, nie bacząc na lufy tysięcy czołgów, karabinów, rakiet wymierzonych w Polskę, nie bacząc na złoczyńców, zdrajców, donosicieli, zaprzańców, z których przynajmniej niektórzy wywodzili się z jego narodu. Wtedy to były tajemnice bolesne. Ale gdy patrzył na rozmodlony lud zgromadzony na Jasnej Górze, to wówczas był to czas tajemnic chwalebnych. Gdy zaś w oczach młodzieży widział zapał i przylgnięcie do tradycji, poprzez śpiew, wiersz, harcerski mundurek, to wówczas były to tajemnice radosne. Tak sobie ks. prymas wpisał modlitwę w patriotyzm. Cierpienia i ofiary nie są straszne, one mają swój głęboki sens w polskiej teologii dziejów.

Straszna jest natomiast alienacja, wyobcowanie i odcięcie się od własnych korzeni – słowem sytuacja, gdy naród zatraca własną kulturę, własną tożsamość, własny sens i cel bytowania. To jest straszne. Prymas mówił: „Nie chcemy być surowymi sędziami i możemy przyznać, że nie byłoby wielu grzechów, gdyby człowiek żył w innych warunkach, gdyby mógł swobodnie decydować, wybierać, postanawiać o swoim losie, o swoim życiu, czynach i obowiązkach. Jest cały splot trudności, które dopełniają nieograniczonej alienacji psychiki człowieka. A gdy się to upowszechnia, alienacja sięga nawet w sferę kultury rodzimej i obyczaju ojczystego, tak iż powstaje niekiedy wątpliwość, azali to jest jeszcze ten sam naród, ochrzczony, mający swoją wielowiekową kulturę i obyczaj narodowy, czy też już nie wiadomo, kogo mamy przed sobą..." (24.09.1980).



PAP/Jan MOREK

KARDYNAŁ WYSZYŃSKI ORAZ JAN PAWEŁ II PODCZAS I PIELGRZYMKI PAPIEŻA DO POLSKI. KRAKÓW. 10.06.1979 R.

Azali to jeszcze ten sam naród? Styl i pytanie na miarę Trylogii Sienkiewicza. Musimy popatrzeć na samych siebie, w prawdzie, nie zasłaniając się okolicznościami i nie szukając miliona wymówek, choć bywa, że sprawnie nam to idzie. Tylko że nie w tym rzecz, rzecz w tym, byśmy nadal pozostali narodem polskim, ochrzczonym, wiernym, głęboko świadomym własnej tożsamości i dalekosiężnej misji. O to właśnie idzie – tego nie możemy zagubić, dać sobie wyrwać. To mamy zachować ■

Antoni Docha. Wiejski lekarz Grodzieńszczyzny



Halina BURSZTYŃSKA

Pewną południową porą 1946 roku mnie – dziecko – losy epizodycznie zetknęły z dobrym człowiekiem; uciekinierem z Grodzieńszczyzny jak moja matka i ja. Tego dnia ordynował w Sokółce. Przed gabinetem oczekiwała spora grupa pacjentów. Był to dzień jarmarku. Rynek wypełniony wozami i ludnością z okolicznych wsi. Nagle wybuchła panika. Rozległy się strzały. Szeptano o wykonaniu na kimś wyroku z rozkazu podziemia Armii Krajowej.

Po chwili zalękniona, z ciężką awitaminozą, po wyczerpującej chorobie stanęłam przed lekarzem. Uważnie zbadał, wręczył lekarstwo i wsunął do kieszonki fartuszka banknot na zakup kolejnego leku. Człowiek ten pojmował, czym bywa ubóstwo.

Jego pamięci poświęcam niniejszy szkic.

Żukiewicze to wieś położona nad malowniczą Świsłoczą, kilkanaście kilometrów od Grodna. Przed wojną była zwana „okolicą", czyli terenem zamieszkałym przez zaściankową szlachtę. Jej potomkowie do dzisiaj zasiedlają te tereny.



Indeks Antoniego Dochy

W Żukiewiczach 15 czerwca 1894 roku małżeństwu Michałowi i Antoninie Dochom urodził się syn. W kościele parafialnym Ejsmonty Wielkie nadano mu imię Antoni. Dochowie posiadali liczne potomstwo siedmiorga dzieci. Prowadzili byt typowy dla drobnej szlachty kresowej, drastycznie zubożałej po klęsce powstania 1863 roku, poddanej politycznym i ekonomicznym represjom carskich ukazów. Wyróżniającą cechą mieszkańców „okolicy" było przejawianie czynnego kultu katolickiej pobożności. Kościół w zaborze rosyjskim, a zwłaszcza na terenach ziem włączonych do rosyjskiego Imperium pozostawał jedyną instytucją, gdzie mimo brutalnych represji język polski przetrwał w publicznej przestrzeni. Używano go w homiletyce, nabożeństwach, pieśniach kościelnych i obrzędach. Czynny udział wspólnoty w praktykach religijnych jednoczył ją środowiskowo oraz stanowił wspólne źródło duchowego umocnienia i nadziei na przetrwanie złych czasów. W codziennym życiu, w czynnościach domowych, w decyzjach rodzinnych był obecny Bóg. Ludzie wyrażali głęboką wiarę w sprawczą moc modlitwy; w każdej sprawie odwoływali się do wsparcia Opatrzności. Była to prosta, dziecięca postawa duchowa przejęta od przodków; ufna i obca teologicznym rozważaniom. W takiej atmosferze dorastał Antoni i taką postawą kierował się w dorosłym życiu. Swe życiowe *credo* wyznał publicznie w 1934 roku na łamach „Rycerza Niepokalanej". Warto

przypomnieć, że miesięcznik ten, założony przez o. Maksymiliana Kolbego, był przez niego wydawany w Grodnie w latach 1922-1927.

Drugi, istotny czynnik kształtowania osobowości Antoniego stanowiła znajomość narodowej historii oraz głęboki patriotyzm wyniesiony z rodzinnego domu. Dojrzewanie przyszłego lekarza przypadało na okres, kiedy po klęsce narodowowyzwoleńczego zrywu 1863 roku przed pokoleniem młodych Polaków powstało dramatyczne pytanie o narzędzia biologicznej egzystencji przy zachowaniu polskiej świadomości narodowej w warunkach wyjątkowo brutalnej rusyfikacji. Z początkiem lat 70. XIX wieku w publicystyce wychowanków Szkoły Głównej w Warszawie pojawiły się hasła tzw. „programu młodych pozytywistów". Program dotyczył odniesienia do tradycji, kultury i narodowej przeszłości oraz do wzajemnych relacji między klasami społecznymi. Pozytywiści postulowali wkroczenie narodu na drogę życiowego witalizmu poprzez pracę i rozwój nauki. Szerzenia haseł tzw. pracy organicznej i pracy u podstaw przejęli od publicystów literaci. Ogromną rolę w propagowaniu nowego programu odegrali wielcy pisarze epoki: Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus i Eliza Orzeszkowa. W swych nowelach i powieściach szczególny nacisk kładli na realizację programu pracy od podstaw. W praktycznym działaniu chodziło o stworzenie warunków dla powszechnej oświaty ludu, poznanie jego materialnych potrzeb, próbę uczynienia z chłopa pełnoprawnego partnera społecznego poprzez edukacyjne uświadamianie. Pisarze przejęli rolę nauczycieli, odpowiedzialnych za los narodu w warunkach prześladowania. Poprzez swe dzieła uczyli, jak żyć po nowemu. Twórczość swą traktowali jako społeczną służbę.

Młody Antoni przyswajał ideały pozytywistów w swym rodzinnym, oczytanym domu. Wzrastał w przeświadczeniu, że jego powołaniem ma być służba człowiekowi, szczególnie najbardziej krzywdzonemu. Pierwszą edukację odbył w męskim rosyjskim gimnazjum w Grodnie, gdzie uzyskał maturę w 1912 roku. W 1914 roku wstąpił na Cesarski Uniwersytet w Petersburgu. Była to wówczas jedyna wyższa uczelnia dostępna Polakom z zachodnich guberni Cesarstwa. Studia na Wydziale Fizyczno-Matematycznym, kiedy już trwała I wojna światowa, przerwało powołanie do wojska. Służbę wojskową w armii carskiej pełnił Docha w Turkiestanie.


GOŚĆ /Agata PUŚCIKOWSKA

TERESA KRÓL POKAZUJE ZDJĘCIE, NA KTÓRYM WIDAĆ JĄ Z OJCEM I SIOSTRAMI

Po obaleniu caratu w Rosji w 1917 roku zaistniały przesłanki dla tworzenia wojsk polskich w oparciu o znaczną liczbę Polaków zamieszkałych na terenie byłego Cesarstwa. Powołano Korpus Polski. W 1918 roku Antoni Docha zgłosił się jako ochotnik do wojska polskiego. Został skierowany do batalionu radiotelegraficznego. Jako żołnierz w randze podchorążego walczył w 1920 roku na froncie polsko-bolszewickim. Przeniesiony służbowo do Warszawy rozpoczął pracę jako pielęgniarz w Głównym Szpitalu Wojskowym.



ANTONI DOCHA. FOT. Z ALBUMU RODZINNEGO TERESY KRÓL

Tam po raz pierwszy zetknął się z cierpieniem i pojął, czym jest caritas, czyli czynna miłość bliźniego wypływająca z ewangelii. Doświadczenia nabyte w szpitalu przesądziły o obraniu drogi życiowej. Zdecydował studiować medycynę. Studia ukończył w Warszawie w 1926 roku. Musiał podjąć decyzję: pozostać w stolicy lub wrócić na prowincję. Tym bardziej, że z dyplomem wyróżnionego absolwenta medycyny otrzymał propozycję natychmiastowej intratnej



cydzik.pl

Teresa Król z mężem Andrzejem podczas uroczystości odsłonięcia tablic upamiętniających ludzi zasłużonych dla Sokółki. 22 września 2019 r.

posady w Warszawie. Odrzucił ją, by rozpocząć praktykę lekarza na zapadłej, kresowej prowincji. Wrócił do rodzinnych Żukiewicz. Tę decyzję, podyktowaną absolutnym altruizmem, czyli pełną gotowością do poświęceń, pojęciem obcym dzisiejszej Europie, należy tłumaczyć osobistym, wewnętrznym nakazem braterskiej służby człowiekowi w oparciu o moralny dekalog chrześcijaństwa. Niemałą rolę odegrały i pozytywistyczne hasła społecznego solidaryzmu, przyswojone w młodości za przyczyną lektury dzieł Orzeszkowej oraz jej późniejszego kontynuatora – Stefana Żeromskiego, autora pięknej postaci doktora Judyma, bohatera powieści „Ludzie bezdomni".

Dla zrozumienia wagi tak bezprzykładnej decyzji w owych czasach – pozbawionej choćby śladu osobistego egoizmu, przecież naturalnego ludzkiej psychice – należy przypomnieć kondycję polskiej medycyny, a szczególnie służby zdrowia na wsi w II Rzeczypospolitej. Po odzyskaniu niepodległości w młodym państwie jaskrawo uwidoczniły się ogromne dysproporcje zaniedbań bytowych i kulturalnych między Kresami północno-wschodnimi a resztą kraju. Wielonarodowościowe, pozbawione inteligencji zniszczonej za carskiego panowania, bez zalążka inwestycji ekonomicznych, o ziemiach rolnych niskiej klasy, o powszechnym analfabetyzmie (na Podlasiu w latach 30. było analfabetów 48,4%) przedstawiały tragiczne opóźnienie cywilizacyjne. Powojenny chaos, wojna polsko-bolszewicka, światowy kryzys ekonomiczny lat 30., bezrobocie, deficyt w skarbie państwa pogłębiały kresową biedę.

Antoni Docha z własnego wyboru wszedł do wspólnoty wiejskiej tzw. „ludzi zbędnych", czyli nie posiadających ziemi lub wegetujących na małym skrawku. Odrzucił pracę w mieście, co dawało możliwości środowiskowego prestiżu, zawodowego rozwoju, awansu, wysokich zarobków. Wybrał pracę zawodową samotnego „Judyma". Wieś, szczególnie kresowa, gdzie doktor Docha rozpoczął praktykę, miała drastycznie mały dostęp do leczenia. Jako na ogół nie pracująca była nieubezpieczona i pozbawiona publicznego systemu świadczeń za pośrednictwem Kasy Chorych. Prywatne wizyty w gabinecie lekarskim należały do rzadkości i wyjątkowych życiowych wydarzeń rodzinnych. Ludzi nie stać było na leczenie. Pomocy szukali u miejscowych znachorów, zaklinaczy kołtunów oraz bab „szeptuch". A trzeba pamiętać, że na ogólną liczbę 35 milionów mieszkańców kraju – w 1938 roku 2/3 mieszkała na prowincji. Nic dziwnego, że szerzyła się umieralność. Zjawisko to dotyczyło zresztą całej populacji. Według Rocznika Statystycznego w latach 30. przeciętna długość życia mężczyzn wynosiła 48 lat, kobiet 51 lat. Śmiertelność noworodków dochodziła do 25% wszystkich zgonów.

Doktor Docha został specjalistą „od wszystkiego". Walczył z powszechną gruźlicą, chorobami wenerycznymi, tyfusem, jaglicą, wszawicą, przerażającym brakiem higieny. Był położnikiem i nierzadko chirurgiem. Zajmował się leczeniem bydła i trzody chlewnej. Melchior Wańkowicz, znany pisarz i reporter nazwał ówczesnych pacjentów ze wsi „oceanem ludzkiego nieszczęścia". Do gabinetu doktora większość pacjentów docierała w stanie mocno zaawansowanej choroby. Była to ostateczność. Nie każdy mógł przybyć ze względu na znaczne odległości. Nie każdy gospodarz posiadał konia i furmankę. Dla wielu opłata za wizytę przewyższała ich finansowe możliwości. Wynosiła 4-5 złotych, co równało się cenie 80 jajek lub 20 litrów mleka. Dlatego najczęściej honorarium stanowiły produkty z własnych, nędznych gospodarstw, gdzie nierzadko mięso jadano tylko dwa razy do roku. Na kupno drogich leków najczęściej doktor dokładał z własnego budżetu, a także często przyjmował bezpłatnie. Niemożność konsultacji ze specjalistami wobec braku telefonu zmuszała go do rozstrzygającej, samotnej odpowiedzialności w stawianiu trudnych diagnoz. Jedynym lekarzem w promieniu 100 km, z którym mógł się konsultować, był Żyd, Chaim Blumstein, również doktor „od wszystkiego". Działalność doktora była bezustannym pokonywaniem rowerem wielu kilometrów wiejskich bezdroży w docieraniu do chorych. Kupno motocykla z uwagi na wysoką cenę było nieosiągalne dla



HRODNA-LIFE / Anatolij NOWIK

Widok na Świsłocz – „domową” rzekę Antoniego Dochy z lotu ptaka

wiejskiego lekarza. W pierwszych latach pracy przyszło mu walczyć z „konkurencją” znachorów. Byli to ludzie swoi, chętni do usług, sąsiedzi o utrwalonej opinii. Nic dziwnego, że wieś była ostrożna wobec nieznanych praktyk doktora, mimo że wywodził się z Żukiewicz. W niedługim czasie doktor przełamał jednak uprzedzenia. Zdobył zaufanie wspólnoty. Obrano go wójtem. We własnym domu założył szpitalik na trzy łóżka. Przy pomocy aptekarza z Indury otworzył wiejską aptekę.

Chętnie obcował z ciekawymi ludźmi, którzy odczuwali potrzebę społecznej służby. Do takich należał Eliasz Klimowicz, niepiśmienny chłop prawosławny, szeroko znany jako prorok Ilja. W latach 30. w gminie Krynki, niedaleko wsi Grzybowszczyzna założył on osadę o nazwie Wierszalin i wybudował cerkiew. Był człowiekiem wiary, miał głęboki impuls służenia bliźnim. Ogłosił się prorokiem. Do Wierszalina ściągali liczni pielgrzymi z Podlasia i Polesia. Doktor Docha popierał jego pragnienia o przysposabianiu chłopców wiejskich do zawodu stolarza, a dziewczęta do krawiectwa. Obaj planowali stworzyć uzdrowisko dla dzieci chorych na gruźlicę ze względu na leczniczy klimat puszczy. W realizacji planów przeszkodził wybuch wojny.

Natychmiast po zajęciu Grodzieńszczyzny we wrześniu 1939 roku przez wojska Armii Czerwonej doktor Docha zgłosił się do rady powiatowej w Wielkich Ejsmontach po przydział do pracy. Otrzymał zezwolenie na kontynuację przedwojennej praktyki w Żukiewiczach oraz na organizację szpitala we wsi Massalany. Na potrzeby szpitala został dostosowany pałac, była posiadłość rodu Bispingów. Do tradycji tego rodu od wieków należała dobroczynna działalność. Równolegle z pracą zawodową doktor Docha od początku był związany z podziemiem konspiracyjnym.

W 1941 roku, po wycofaniu się wojsk radzieckich i wkroczeniu Niemców zorganizował w Żukiewiczach ambulatorium lekarskie oraz ośrodek zdrowia w Indurze. Tam też przeniósł się z żoną, również lekarzem oraz z dwiema córkami. Jego czynną, obywatelską działalność okupacyjną ujawniła po latach córka, Teresa Król. Jej ojciec przez całą okupację niemiecką zatrudniał fikcyjnie młode kobiety, chroniąc je w ten sposób przed wyjazdem na przymusowe roboty do Niemiec. Równocześnie przez polskie struktury podziemne został mianowany konspiracyjnym, niepodległościowym szefem służby sanitarnej w Obwodzie Armii Krajowej Grodno – Lewy Niemen. Prowadził szpital polowy i leczył partyzantów. Praktyka lekarska ułatwiała mu kontakt z różnymi środowiskami i osłabiała podejrzenia okupanta. Sytuację tę wykorzystywał wielokrotnie. Szczególnie szlachetną kartą jego biografii było uratowanie życia grupie grodzieńskich Żydów. W 1943 roku, przed likwidacją grodzieńskiego getta, otrzymał



AIPN

Medal i dyplom ***Sprawiedliwy wśród Narodów Świata*** **dla Janiny i Antoniego Dochów**



cydzik.pl

Potomkowie dr. Antoniego Dochy. Sokółka. 2019 r.

gryps z dramatyczną prośbą: „Panie kolego, jeśli jesteś chrześcijaninem, jeżeli wierzysz w Boga, musisz nam pomóc". Autorem grypsu był lekarz Chaim Blumstein. Należało zorganizować ucieczkę dużej grupy dwunastu osób. Wykonanie tego zadania było niezwykle niebezpieczne. Doktor Docha ryzykował życiem swoim, swojej rodziny oraz osób pomagających i ich rodzin. Pomoc Żydom równała się narażeniu na pewną śmierć. W tym czasie głośna była sprawa nauczyciela Wiewiórkowskiego. Za ukrywanie Żydów był torturowany i zabity. Wraz z nim zastrzelono kilkadziesiąt osób i spalono wieś. Jednak nie zawahał się. Postąpił, jak nakazywało mu sumienie. Zorganizował brawurową ucieczkę. Pod pozorem zabrania dla szpitala w Żukiewiczach mebli z getta wjechał na jego teren niemieckim samochodem ciężarowym. Na spodzie platformy umieścił uciekinierów i przykrył meblami. Posterunki niemieckich żandarmów przepuściły ładunek. Po kilku miesiącach doktor został wezwany na gestapo. Ktoś złożył donos o przechowywaniu Żydów. Uratował go gestapowiec, którego leczył z cukrzycy. W obecności doktora zniszczył donos. Rodzina Blumsteinów uratowała się. Doktorowi zawdzięczało też życie małżeństwo Frani Broide z mężem. Ocalił ich małą córeczkę. Umieszczona w rodzinie chrześcijańskiej doczekała wyzwolenia. Wieść o polskim lekarzu ratującym Żydów roznosiła się po grodzieńskim getcie. W 1942 roku dwie młode Żydówki po ucieczce z getta pojawiły się u doktora z prośbą o pomoc. Jego reakcję warto przytoczyć na podstawie osobistych notatek doktora. Są bowiem autentycznym świadectwem, jakim był człowiekiem: „Jesteście Żydówkami. Jak was znajdą, to zabiją was, mnie, moją żonę i córki. Mam przykazanie od Pana Boga Wszechmogącego, aby ratować cierpiących Żydów, ale nie wiem, czy mam rację robiąc to. Idę do kościoła, wzywam Pana Boga. On nie odpowiada. W związku z tym decyduję się was ratować. Jeśli Bóg otoczył was swoją opieką i przywiódł tutaj z getta, a Niemcy was nie znaleźli, to ja wam pomogę". Doktor umieścił je w zaprzyjaźnionym domu i łożył na utrzymanie. Żydówki Fania Halpern i Helena Bibliowicz ocalały. Po wojnie znalazły się w USA. Przez długie lata utrzymywały serdeczny kontakt z rodziną Dochów.

W 1944 roku Grodno ponownie stało się terenem wojennego frontu. Po odparciu Niemców do miasta wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. Rozpoczęto kolejny wysiłek organizowania codziennego życia. Doktor Docha został skierowany do pracy na wieś Bojary nieopodal Indury, gdzie założył szpital rejonowy i został jego dyrektorem. Pracował tam krótko. Obawiał się aresztowania i zesłania na Syberię w związku z odmową podpisania petycji do Stalina o przyłączenie Grodna i okolic do ZSRR. Po nielegalnym przekroczeniu granicy zatrzymał się w Kuźnicy. Po epizodycznym pobycie na Ziemiach Zachodnich, w poszukiwaniu nowego miejsca do życia, wrócił w swoje strony. Zamieszkał w pobliżu Grodna, już oddzielony od niego granicą.

W Sokółce, gdzie osiadł, przeżył do śmierci w 1978 roku piękny i twórczy okres czynnego życia jako lekarz, społecznik, osoba prywatna. Dzięki staraniom jego oraz żony Janiny wybudowano w mieście szpital powiatowy, którym przez długie lata administrował jako dyrektor. Niestrudzenie prowadził praktykę lekarską w warunkach jakże nieporównywalnych dla jej początków. Podejmował wiele społecznych inicjatyw na rzecz lokalnego środowiska. Był człowiekiem apolitycznym, wiernym zasadzie priorytetu chorego w niesieniu pomocy – bez różnic światopoglądowych. Za swą pracę zyskał uznanie kręgów państwowych i społecznych. W 1948 roku uchwałą Rady Państwa, zatwierdzoną przez ateistycznego, komunistycznego prezydenta Bolesława Bieruta, został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Za zasługi dla Kościoła katolickiego otrzymał od papieża Pawła VI medal *Pro Ecclesia et Pontifice*, jedno z najwyższych odznaczeń dla świeckich za postawę moralną i pracę dla dobra ogółu. Żydzi wyróżnili go pośmiertnie tytułem *Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata*. Uchwałą Rady Miasta Sokółki wdzięczna społeczność nazwała jedną z ulic imieniem Janiny (1911-1994) i Antoniego Dochów.

Doktor Antoni Docha to piękna postać godna pamięci ■

Bogdan Horbik rodem z Biskupiec



Maurycy FRĄCKOWIAK

W roku 2006 zaproszono mnie do wyjazdu na Białoruś. Organizatorem było Stowarzyszenie Rodzin Wołkowyskich z siedzibą w Gdańsku. Uczestnicy wyprawy docierali do Wołkowyska i tam rozchodzili się, bądź rozjeżdżali do swoich krewnych. Ja znalazłem kwaterę w domu miejscowej rodziny polskiej.

Już pierwszego dniu pobytu poznałem drobnego mężczyznę o surowych rysach twarzy i bystrym spojrzeniu. Był nim Władysław Uchnalewicz, zamieszkały w pobliżu kościoła i starego cmentarza katolickiego. Wbrew pozorom okazał się być człowiekiem ciepłym i sympatycznym. Przypadliśmy sobie do gustu i przez bite dwa dni toczyliśmy długie rodaków rozmowy. Później wiele razy podróżowałem do Wołkowyska i za każdym razem odwiedzałem pana Władysława. To człowiek o niezwykłej biografii. Podczas jednej z wizyt w Jego niewielkim domu poznałem Bogdana Horbika. Był kuzynem Władysława, młodszym odeń o lat 10. Od tamtego czasu spotykałem się z Bogdanem w kolejnych podróżach na Białoruś oraz na spotkaniach Stowarzyszenia Rodzin Wołkowyskich w Gdańsku. Podczas wspólnych podróży opowiadał historię swojej rodziny. Dla nas współczesnych jest to historia nietuzinkowa. Zaproponowałem zatem, że utrwalę i opublikuję jego wspomnienia. Wyraził zgodę i tak powstał niniejszy tekst.



Bogdan Horbik (pierwszy z prawej) podczas pracy w Kaliningradzie (d. Królewiec). Fot. z albumu Bogdana Horbika

Przyszedłem na świat dnia 02.08.1936 r. w wiosce o nazwie Biskupce (obecnie Biskupcy), położonej około trzy kilometry od Wołkowyska. Była to dość duża wioska, licząca bodaj 120 gospodarstw. Zdecydowaną większość mieszkańców stanowili Polacy, reszta to Białorusini. W naszej wsi żyło dziesięć rodzin noszących nazwisko Horbik. Takie nazwisko nosił mój ojciec Wiktor i tak brzmiało nazwisko panieńskie mojej mamy Izabeli. Ojciec był nietuzinkową postacią. Za czasów carskich pisał sąsiadom listy, pisma urzędowe, uczył ich czytać i pisać po polsku oraz po rosyjsku, gdyż władał biegle oboma językami. Moja babcia ze strony ojca miała panieńskie nazwisko Łobacz, zaś babcia ze strony mamy – Sawko. Miałem siedmioro rodzeństwa. Czworo braci i cztery siostry. Wiem od dziadków, że nasza rodzina siedziała na tej ziemi

od wielu pokoleń.

Do 1949 r. rodzice gospodarzyli na 14 ha niezgorszej ziemi. Było tam 8 hektarów ziemi ornej, 2 hektary lasu i 4 hektary łąk. W oborze stały cztery mleczne krowy, zaś w chlewie kilka świń. W kurniku trzymaliśmy stadko kur oraz kilka kaczek i gęsi. Mieliśmy też konia i własny wóz, na drewnianych, okutych kołach ze szprychami. Wóz łatwo przemieniał się w drabiniasty, lub skrzyniowy, w zależności od potrzeb. Posiadaliśmy również własny siewnik. W przydomowym ogrodzie rosły różnorodne drzewa owocowe. Obok ogrodu znajdował się sporych rozmiarów warzywniak.

Na każde święta Bożego Narodzenia i święta Wielkiej Nocy ojciec zabijał i sprawiał jedną świnię. Lodówek nie znaliśmy, toteż większość mięsa trafiało do dużego drewnianego cebra. Tam leżakowało przesypane obficie solą. Z rozdrobnionych skrawków mięsa i słoniny rodzice robili kiełbasę, zaś szynki, boczek i schaby wędzili. Pamiętam, że po uwędzeniu pachnące wędliny owijano bandażami i wieszano w specjalnej komorze na strychu. Owijano zaś po to, aby zabezpieczyć je przed owadami. Przy każdym wejściu na strych sprawdzaliśmy czy gryzonie nie próbują się do nich dobrać. Gdy nadchodziła jesień, rodzice szatkowali kapustę. Wrzucano ją do dwóch drewnianych beczek i ubijano drewnianym ubijakiem. Zawsze mieliśmy nadmiar i wiosną ojciec rozdawał ją sąsiadom. Pamiętam, że mama dodawała do kapusty marchew i niektóre owoce. Niestety nie wiem jakie, gdyż to pozostało mamy tajemnicą. Kapusta była znakomita i myślę, że sąsiedzi nie tylko z grzeczności chwalili jej smak.

Obok domu umiejscowiony był spichlerz, nazywany świronkiem. Pod nim znajdowała się duża murowana piwnica, w której składowano ziemniaki.



Ruiny zamku w dawnym Królewcu. 1954 r. Fot. z albumu Bogdana Horbika

Ziarno na mąkę woziliśmy do młyna w Wołkowysku. Mama raz w tygodniu piekła chleb. Był na naturalnym zakwasie i długo zachowywał świeżość. Pamiętam, że jeżeli chodzi o żywność, to byliśmy samowystarczalni. W urodzajne lata mieliśmy nadwyżki plonów, które ojciec sprzedawał. Sprzedawał również cielaki i świnie. Za uzyskane pieniądze dokupował co jakiś czas po skrawku ziemi. Na naszych polach sialiśmy jęczmień, owies i żyto oraz sadziliśmy ziemniaki, buraki i brukiew. Po wojnie uprawiliśmy również niewielkie poletka lnu, konopi i tytoniu. Początkowo rodzice nosili wodę wiadrami, ze źródełka bijącego w pobliżu rzeki Wołkowyi. Mieliśmy w domu drewniane nosidła, do których przyczepiało się dwa napełnione wodą wiadra i niosło je do domu. Od rzeki i źródełka dzieliło nas zaledwie 200 metrów. Później ojciec najął robotników, którzy wykopali na podwórzu głęboką studnię.

Już jako dziecko potrafiłem zarabiać pieniądze. Za zgodą rodziców, w Wołkowysku sprzedawałem nasze dorodne wiśnie, śliwki, jabłka, gruszki i porzeczki oraz leśne jagody. Za moje zarobione pieniądze ojciec kupował książki i zeszyty.

Nasza rodzina liczyła dziesięć osób, gdyż miałem siedmioro rodzeństwa, w tym troje braci i cztery siostry. Mimo iż była nas spora gromadka, to nigdy w domu rodzinnym nie zaznałem głodu. Chodziłem do kościoła w Wołkowysku boso. Buty niosłem na ramieniu i zakładałem dopiero przed kościołem.

Muszę dodać, że przez parę lat mieszkał z nami kuzyn Władysław Uchnalewicz. Władek w czasie okupacji był żołnierzem Armii Krajowej, zaś po 1944 r. żołnierzem Obywatelskiej Armii Krajowej. Na skutek donosu wpadł w ręce NKWD i po ciężkim śledztwie w Grodnie został skazany na karę śmierci. Gdy oczekiwał egzekucji, karę śmierci zamieniono na 25 lat łagrów. Trafił do kopalni węgla w Workucie. Obecnie mieszka w Wołkowysku i należy do nielicznej garstki Żołnierzy Wyklętych, żyjących jeszcze na Białorusi.

Przed wojną w naszej chałupie mieszkał nauczyciel nazwiskiem Przybielski. On również prowadził Młodzieżową Organizację Strzelców, do której należała okoliczna młodzież. W naszej wiosce istniała przed wojną 4-klasowa szkoła po-

wszechna. We wrześniu 1939 r. do wioski zawitali żołnierze sowieccy. Po ich wkroczeniu nauczyciel zniknął, a w naszym domu zamieszkały dwie nauczycielki Żydówki, o imionach Celina i Rachela. Nie wiem, jaki los je później spotkał. W miejscowym *selsowiecie* przewodniczącym został mieszkaniec wioski Paweł Leonard. Mimo iż Sowieci okupowali nasze ziemie prawie dwa lata, to bodaj niewiele zmieniło się wówczas we wsi i naszej rodzinie. Pamiętam odrobinę, co się działo w 1941 r. W naszej wiosce pojawili się Niemcy. Wówczas Paweł Leonard wraz z całą rodziną uciekł do lasów, gdzie ponoć dołączył do powstającej partyzantki. Z czasów okupacji niemieckiej pamiętam znacznie więcej. Otóż moja siostra Janina codziennie wędrowała przez las do Wołkowyska, gdzie uczyła się krawiectwa. Pewnego wieczora, na leśnej dróżce, stanął naprzeciw niej duży wilczur. Jak się później okazało, był to niemiecki pies wytresowany w tropieniu Żydów. Uciekł z koszar Wołkowyska zamienionych na getto i błąkał się po lasach. Siostra bardzo się przestraszyła i biegła całą drogę do domu. W tym dniu padało i było bardzo zimno. Na skutek szaleńczego biegu nabawiła się zapalenia płuc i niebawem zmarła. Druga siostra Maria, została zabrana przez Niemców i wywieziona na roboty przymusowe do wsi w pobliżu Olsztynka. W 1944 r. zginął tragicznie mój brat Jan. Miał wówczas 14 lat. Kilka razy rozbrajał znalezione pociski. Pewnego razu jeden z nich eksplodował. Brat z poszarpanymi wnętrznościami trafił do szpitala w Wołkowysku, gdzie umarł. Mama, na skutek przeżytych tragedii, utraciła wzrok. Pamiętam również, że trzy tygodnie przed nadejściem Sowietów Niemcy rozstrzelali za stodołą jednego z miejscowych gospodarzy wszystkich dorosłych członków rodziny Pawła Leonarda. Pochowano ich na miejscu egzekucji.



Gospodarstwo pp. Horbików w Biskupcach. Fot. z albumu Bogdana Horbika



Młócenie zboża w gospodarstwie pp. Horbików. Fot. z albumu Bogdana Horbika

Tuż przed nadejściem frontu, pojawił się we wsi żołnierz niemiecki. Jechał furmanką, do której przywiązał źrebaka. Na widok ojca zatrzymał się i kazał, aby go sobie zabrał. Pamiętam, że przed ruskimi pojawiły się dwa razy oddziały *własowców*, którzy zabili i zabrali nasze świnie.

Nadejście Sowietów przyniosło nowe nieszczęścia. Na pobliskich łąkach dwie dziewczyny o imionach Leokadia i Urszula pasły krowy. Od wschodu nadleciał pocisk i zabił obie. Natychmiast pochowano je obok przydrożnego krzyża i dopiero po przejściu frontu zostały pochowane na cmentarzu. Również wtedy ekshumowano i pochowano na cmentarzu rozstrzelanych za stodołą. Podczas kanonady siedzieliśmy całą rodziną w piwnicy.

Bodaj jesienią 1946 r. w naszej wsi powstał obóz wojskowy. Kopano duże ziemianki, w których kwaterowała sowiecka piechota. Ich „naczalstwo” zajęło kwatery u chłopów. W naszym domu zamieszkał pułkownik sowiecki z żoną i synem. Obok domu

w ogrodzie rozbito duży namiot, w którym przebywała jego ochrona. Naprzeciwko naszej chałupy, po drugiej stronie drogi, znajdował się pagórek. Na nim Sowieci zbudowali strażnicę, w której był telefon i telefonistki. W naszym domu też zainstalowano telefon. Do dzisiaj nie wiem, skąd przybyli Sowieci i dlaczego stacjonowali właśnie u nas. Być może przybyli tu z Polski? Mieszkańcy Biskupiec mieli jednak z ich pobytu niemałą korzyść, ponieważ to oni zbudowali we wsi sieć energetyczną i zasilali ją z agregatu prądotwórczego. Gdy w końcu opuścili wioskę, nasza wiejska sieć energetyczna została podłączona do sieci pobliskiego Wołkowyska. W tamtym czasie NKWD poszukiwało mojego brata Piotra. Ten uciekł i skutecznie ukrywał się przed nimi.

W roku 1946, dla nas Polaków, rozpoczął się dramat. Stanęliśmy przed wyborem, albo porzucić ojcowiznę i wyjechać w nieznane, albo trwać licząc na cud. Ojciec, tak jak zdecydowana większość mieszkańców wioski, zapisał się na wyjazd. Jednak sąsiedzi znikali, a my pozostawaliśmy na miejscu. Ojciec wraz z kilkoma innym gospodarzami uznali, że lepiej pozostać i przeczekać. Mówili między sobą, że zachód nie pozwoli bolszewikom na panoszenie się w Europie i wybuch następnej wojny jest tylko kwestią czasu. Oni, siedząc na miejscu, zaoszczędzą sobie wędrówki w nieznane i trudów powrotu na swoje. Niestety kalkulacje rodziców okazały się wielką pomyłką.

Życie pod władzą sowiecką było początkowo dość znośne. Jednak już po niedługim czasie gospodarzy zaczęto szykanować i nakładać coraz większe podatki. Rodzice wyprzedawali się, ale długi nadal rosły i doprowadziły rodziców do kresu wytrzymałości. W 1949 r. zostali nakłonieni do napisania podania o przyjęcie do kołchozu, który przejął naszą gospodarkę. Teraz nie mieliśmy nic. Po chleb trzeba było wędrować do sklepu w Wołkowysku. Tam tworzyły się długie kolejki i dochodziło między ludźmi do kłótni i awantur. Sprzedawano tylko po jednym bochenku. Dla naszej licznej rodziny oznaczało to po jednej kromce chleba na śniadanie i kolację. Na szczęście znalazłem sposób i często przynosiłem do domu dwa bochenki. Ten sowiecki chleb był ciemny i gliniasty. Można było z niego lepić figurki. W niczym nie przypominał naszego domowego chleba!



W gospodarstwie wiejskim zawsze hodowano świnie. Fot. z albumu Bogdana Horbika

W 1951 r. ukończyłem 7-klasową Szkołę Powszechną w Biskupcach i siedziałem w domu. W 1953 r. do naszej wioski przybył agitator i namawiał na wyjazd na naukę zawodu w Kaliningradzie. Uległem namowom i wraz z innymi w początkach października opuściłem wioskę. Jechaliśmy do Grodna, gdzie był punkt zborny takich jak ja kandydatów. W dalszej podróży pociągiem, trafiłem na kurs w Przyfabrycznej Szkole Zawodowej w Kaliningradzie. Miasto leżało wówczas w gruzach.

Wcielono mnie do grupy murarzy. Były też grupy o innych specjalnościach m. in. cieśli i tynkarzy. W jednej grupie dziewczyny uczyły się zawodu malarza. Pamiętam, że były to sieroty z domów dziecka. Mieszkaliśmy wszyscy w internacie, gdzie obowiązywała dyscyplina wojskowa. Z tamtych czasów zapamiętałem dzień, w którym zmarł Józef Stalin. Wówczas zaprowadzono nas na wielki plac, gdzie stały tłumy i tam wysłuchaliśmy żałobnego przemówienia Berii. Wychowawcy płakali rzewnymi łzami.

Wkrótce nadeszły święta Bożego Narodzenia. Od wczesnego dzieciństwa było to dla mnie bardzo ważne wydarzenie. Niestety, Sowieci nie obchodzili tych świąt. W Wielki Piątek wraz z dwoma rodakami, uciekliśmy z internatu i udaliśmy się na dworzec kolejowy, gdzie udało się nam wejść po drabince na wagon pociągu relacji Kaliningrad – Moskwa jadącym przez Wilno. Chowając się przed obsługą, większą część trasy przesiedzieliśmy na harmonijkowych łączeniach wagonów, gdzie było bardzo zimno. Jeden z kolegów pochodził ze Szczuczyna i znał Wilno. Gdy tam dotarliśmy, zaprowadził nas na stację Porubanek, znajdującą się kilka kilometrów za Wilnem, i znalazł jakiś pociąg towarowy. Wdrapaliśmy się na drewno wiezione w wagonie i tam zmęczony natychmiast usnąłem. Gdy

Karta repatriacyjna Nr 039635

1. Nazwisko Horbik
2. Imiona Bogdan
3. Imiona rodziców Wiktor-Izabela
4. Data urodzenia 1936 r.
5. Miejsce urodzenia Biskupice pow. Wołkowysk
6. Zawód wyuczony murarz

ostatnio wykonywany j.w.

Przybył do PRL z Z.S.R.R

dnia 23 miesiąca kwietnia 1958 r.

własnoręczny podpis

Pieczęć

A № 039635

KARTA REPATRIACYJNA BOGDANA HORBIKA Z 1958 R.



WSPÓŁCZESNE ZDJĘCIE BOHATERA WSPOMNIEŃ. FOT. Z ALBUMU BOGDANA HORBIKA

się obudziłem, pociąg znajdował się na przedmieściach Moskwy. Koledzy znikli. Zdesperowany wysiadłem i szczęśliwie znalazłem pociąg jadący przez Wołkowysk. Maszynista wysłuchał moich próśb, zlitował się i zabrał do parowozu. Przed stacją Wołkowysk celowo zwolnił. Wyskoczyłem z pociągu i szczęśliwie spędziłem święta w domu rodzinnym. Zaraz po świętach wróciłem do Kaliningradu. Spodziewałem się represji, ale się zawiodłem. Po upływie 6 miesięcy ukończyłem kurs i pracowałem jako murarz w kilku firmach budowlanych. W czasie zimy pracowałem jako palacz w kotłowniach. Z końcem 1954 r. zatrudniono mnie w objazdowej firmie budowlanej. Bazą firmy był duży skład pociągu zawierający wagony towarowe, w którym mieszkaliśmy i które stanowiły równocześnie magazyny materiałów, maszyn i narzędzi budowlanych. Był to „Stroicielny montażny pojazd nr 204”. Tym pociągiem wraz z załogą jeździłem po bezkresach Związku Sowieckiego. Pracowałem przy budowie linii kolejowych na Uralu, zaś w Orenburgu pracowałem jako murarz. W grudniu 1956 r. porzuciłem „wędrujący tabor” i po wielu perypetiach dotarłem do rodzinnych Biskupic.

U schyłku 1957 r. otworzyła się możliwość wyjazdu do Polski. Tym razem nie bacząc na nic wyjechaliśmy prawie całą rodziną do Polski. W Biskupcach pozostała jedna z moich siostr, która wyszła za mąż za miejscowego rodaka.

Po kilkudniowej podróży przybyliśmy do Białej Podlaskiej, a stamtąd do Czerwińska koło Zielonej Góry. Tam skierowano nas do Gubina. Podjąłem pracę w Gubińskich Zakładach Obuwia. W 1962 r. wyjechałem z domu do Gdańska i zatrudniłem się w Stoczni Gdańskiej. Przez kilka lat pracowałem jako malarz-konserwator, później jako pracownik obsługi urządzeń odlewniczych. Brałem udział w strajkach 1970 r. W styczniu 1980 r. odszedłem ze stoczni na rentę chorobową, gdyż w pracy nabawiłem się pylicy płuc. Po sześciu miesiącach przebywania na rencie podjąłem pracę jako stróż w Gdańskich Zakładach Zbożowych. W 1996 r. przeszedłem na emeryturę.

Wcześniej, bo w 1969 r. ożeniłem się. Mam dwóch synów i czworo wnucząt. Mieszkam w Gdyni, otoczony serdeczną opieką moich synów. Wielokrotnie jeździłem w rodzinne strony na Białoruś. Tam spędziłem szczęśliwe dziecięce lata i często wracam do nich wspomnieniami.

Od wielu lat należę do Stowarzyszenia Rodzin Wołkowyskich z siedzibą w Gdańsku, gdzie spotykam się z podobnymi sobie rodakami, wyzutymi przez historię z ukochanej ziemi rodzinnej ■

Tajemnicza 5G

ELIZA ANDRUSZKIEWICZ

To skrót oznaczający „piątą generację" standardu sieci komórkowych, która jest rozwijana od lat 50. ub. wieku, kiedy testowano pierwsze dwukierunkowe urządzenia do komunikacji radiowej. Każda kolejna generacja korzysta w celach komunikacji z fal radiowych.



IPHONE Z 5G

Nowa technologia zbudza obawy. Można przytoczyć wypowiedź polskiego pisarza Jarosława Kamińskiego: „Niebawem wchodzi do użytku Internet 5G, który będzie miał olbrzymią moc przesyłania danych, kompilowania ich i kreowania nowych konstelacji… To, co będzie wyczyniał z nami, podejrzewam, przekroczy wszelkie możliwe do wyobrażenia sytuacje. Przygotujmy się na duchowe trzęsienie ziemi. Pewnie zewnętrznie nic się nie zmieni, nie zawali się żaden dom, z mapy nie zniknie żaden kraj, ale nasze życie wywróci się do góry nogami".

Od 11 maja br. sieć 5G działa w Polsce i ok. 900 tys. osób siedmiu dużych miast jest w jej zasięgu, 5G obsłuży aż milion odbiorników na każdy km^2. Bezproblemowym stanie się korzystanie z Internetu na stadionach czy funkcjonowanie zrobotyzowanej fabryki. 5G jest niezbędna do samochodów bez kierowcy, programów: inteligentne miasto, inteligentny dom i in.

To także większa przepustowość danych – do 20 gigabitów na sekundę, 60 razy więcej, niż 4G i 20 razy więcej od światłowodów. 5G może przynieść gospodarczą rewolucję.

Czy 5G jest bezpieczna dla ludzkiego zdrowia? WHO i liczne badania przeprowadzane od odkrycia fal radiowych w XIX w. potwierdzają, że w kontrolowanych warunkach (w granicach obecnie obowiązujących norm) jest bezpieczna.

Fale centymetrowe i milimetrowe są wykorzystywane w komunikacji od lat, głównie w wojsku i ośrodkach naukowych – te długości fal świetnie nadają się także do konstrukcji radarów i radioteleskopów, które obserwują niebo. Wciąż jest to promieniowanie niejonizujące, które nie przepływa przez nasz organizm, mogąc dokonać w nim jakichś zmian. Pierwsza odczuwalna zmiana to zwiększona przepustowość Internetu bezprzewodowego w sieciach komórkowych.

5G przyda się również tam, gdzie będzie można wykorzystać sieci czujników – np. przy uprawach. Mogą one na bieżąco monitorować stan podłoża, czy np. obecność szkodników, czy pojawianie się chorób i stosowanie pestycydów miejscowo, a nie na całe pola. Znacznie bliższe nam są już sieci samochodów autonomicznych, które będą przemierzały nasze ulice. Im więcej czujników znajdzie się w ich zasięgu, tym bezpieczniej będą się przemieszczać.

W końcu medycyna. 1 milisekunda opóźnienia pozwoli na przeprowadzanie skomplikowanych i dokładnych operacji zdalnie, z pomocą robotów. Lekarz będzie mógł dokładnie, niemal w czasie rzeczywistym operować pacjentów po drugiej stronie świata.

Czy 5G jest potrzebne w domach? W tym momencie - nie: w zupełności wystarczy łączność wi-fi. Będzie optymalnym rozwiązaniem w ciasnych osiedlach kilkunastopiętrowych bloków, gdzie w każdym z mieszkań znajdzie się kilka lub nawet kilkanaście urządzeń.

Aby korzystać z 5G, trzeba mieć urządzenie z tym standardem i być w jej zasięgu. Już są pierwsze smartfony z modemem 5G.

Szacuje, że do 2025 r. połowa telefonów komórkowych będzie korzystała z 5G, pozostałe pozostaną przy starszych technologiach – 4G i 3G. Wraz z upowszechnianiem 5G będzie trafiać do coraz tańszych smartfonów, na razie koszt dołączenia do sieci 5G jest drogie.

Białoruś w listopadzie ub.r. podpisała w Wiedniu umowę o rozwoju 5G. W styczniu br. w Mińsku odbyło się jej testowanie ■

Za wolność naszą i waszą

Jaka jest historia hasła: „Za wolność naszą i waszą", pod którym walczyli Polacy. Kiedy ta maksyma dokładnie się pojawiła i w jakich okolicznościach? Mnie kojarzy się przede wszystkim z rokiem 1863, z literaturą i filmami o powstaniu styczniowym.

Anna SZOTA
Grodno



Sztandar z 1831 r.

Od redakcji

„W imię Boga za naszą i waszą wolność" – taki napis po raz pierwszy pojawił się na polskich sztandarach w czasie demonstracji ku czci dekabrystów w Warszawie w dn. 25 stycznia 1831 r. Autorstwo hasła przypisuje się Joachimowi Lelewelowi.

Oryginalny sztandar z tym napisem przechowywany jest w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. W trakcie powstania listopadowego wypisywano go na sztandarach w języku polskim i rosyjskim, dwustronnie, ze znakiem czerwonego krzyża na białym tle. Hasło miało pokazywać cel powstania listopadowego skierowanego nie przeciw Rosjanom, a przeciwko carskiemu despotyzmowi.

Potem hasło to stało się nieoficjalnym mottem Polaków walczących w kolejnych zrywach o niepodległość Polski, ale też o wolność innych narodów na różnych frontach Europy i świata. W wersji polskiej i węgierskiej używał go oddział Józefa Bema na Węgrzech w 1848 r. Odtąd to hasło stale towarzyszyło żołnierzom polskim, często zmuszonym walczyć o kraj na obczyźnie.

I odwrotnie. Z hasłem „Za naszą i waszą wolność" walczyli obcokrajowcy wspierający Polaków w walce o niepodległość: Węgrzy, Francuzi, Włosi, a nawet Rosjanie, później zaś Amerykanie. Do tego motta odwoływali się także polscy żołnierze walczący w czasie II wojny światowej na Zachodzie i Wschodzie w nieco zmienionej formie: „Za wolność naszą i waszą", pojawiło się ono na sztandarach i w gazetkach frontowych.

Nazwę „Za waszą wolność i naszą" nosiło także polskie odznaczenie wojskowe, nadawane uczestnikom walk (po stronie republikanów) w hiszpańskiej wojnie domowej (1936-1939) (Dąbrowszczakom).

W 1968 r. Marian Hemar protestując przeciwko inwazji na Czechosłowację napisał wiersz:

„Wyprowadzili żołnierza.
Na to czeskie Psie Pole
Z nowym hasłem:
Za waszą i za naszą niewolę".

I choć dzisiaj słowa „Za wolność naszą i waszą" mogą brzmieć nieco patetycznie, to jeszcze nie tak dawno temu były zupełnie czytelne i godne do naśladowania.

Eliza ANDRUSZKIEWICZ

Wspomnienie z Grodna

Jedną z praktyk dziennikarskich podczas studiów odbywałam w Grodnie, mieszkałam wtedy w jakimś piętrowym budynku z widokiem na łąki i odległe asfaltowane drogi.

Gdy w późniejszym czasie przyjeżdżałam na reportaże, Tadeusz Gawin, prezes Związku Polaków, zawsze spotykał mnie samochodem i umieszczał mnie gdzieś w centrum Grodna, był to jakiś hotelik. Za każdym razem wszystko było bardzo dobrze zorganizowane, o nic nie musiałam się martwić.

Rozmawiałam z ludźmi i notowałam. W żadnej innej delegacji nie miałam aż tak dobrze.

Leokadia KOMAISZKO
Liège, Belgia

Szanowna Pani Redaktor,

W podręczniku do języka polskiego chcemy zamieścić fragmenty tekstu profesora Wiktora Choriewa, opublikowanego w „Magazynie Polskim", 2012, nr 11 (83), s. 15–20, pt. Adam Mickiewicz i polski kanon postrzegania Rosji.

Zwracam się do Pani z uprzejmym zapytaniem, czy jest możliwość uzyskania zgody na publikację tego tekstu w naszym podręczniku? W załączeniu przesyłam tekst, który chcemy opublikować.

Podręcznik będzie wydany w wersji drukowanej i cyfrowej, przewidywany termin publikacji to lipiec 2020 r. w Gdańskim Wydawnictwie Oświatowym.

Z poważaniem

Ilona KRASNOPIÓRKO

ALEKSY SALEJ

UROCZYSTE ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO W POLSKIEJ SZKOLE SPOŁECZNEJ PRZY ZPB. W ROLĘ KRÓLA I KRÓLOWEJ WCIELILI SIĘ ÓWCZEŚNI MATURZYŚCI. GRODNO. MAJ 2009 R.

ALEKSY SALEJ

BRAWO

SCENKA W PREZENCIE DLA MATURZYSTÓW OD MŁODSZYCH KOLEGÓW ZE SZKOŁY. GRODNO. MAJ 2009 R.


© MAGAZYN Polski 2020 r.